



SUSANNE ROBERTS

NIECZUŁE SERCE



Przełożyła Renata Kochan

ROZDZIAŁ 1

Obudził ją sympatyczny głos konduktora, który zakomunikował uprzejmie, że następny przystanek to Percy's Pass i w związku z tym ostatni dzwonek na zjedzenie śniadania. Trudi usiadła na posłaniu i wyjrzała przez zakurzone okno. Niewiele spała minionej nocy, nawet monotony stukot kół pociągu niewiele tu pomógł.

Część kraju, przez którą teraz jechali, sprawiała wrażenie dziwnie opustoszałej: niebotyczne góry, wysuszone pustkowie, płatanina kolczastych zarośli wzdłuż toru kolejowego, zakurzonych i spalonych słońcem. W tej scenerii brakowało jedynie kowbojów i Indian i Trudi oczekiwała podświadomie, że zaraz się ukażą. Zachód wyglądał całkiem inaczej, niż go sobie wyobrażała. Owszem, był piękny, wręcz zapierający dech w piersiach, ale w tych wszystkich starych filmach, które oglądała wraz z innymi uczennicami Centrum Medycznego, występowali także ludzie, a tymczasem w tym upale jak okiem sięgnąć nie widać było żywej duszy, oprócz paru znudzonych podróżnych na mijanych stacjach kolejowych.

Z westchnieniem sięgnęła po kosmetyczkę, leżącą na chybotałej półce siatkowej, i próbowała się ubrać na niewygodnym posłaniu. Na końcu uczesała rudawe włosy i rozsunęła zielone zasłonki, zamierzając zejść po drabince. Większość współpasażerów siedziała już ubrana na swoich miejscach.

Dopiero przed trzema tygodniami Trudi zdała ostatnie egzaminy na dyplomowaną pielęgniarkę, a teraz jechała, aby objąć pierwszą w życiu posadę. Wkrótce zobaczy mężczyznę, który ją zatrudnił, i zajmie się pacjentem, a to oznacza całkowitą zmianę w jej życiu.

Kiedy tak wyglądała z okna na ciągnący się w nieskończoność pustynny, niemal bezludny kraj, zapytywała samą siebie w duchu, czy jednak nie popełniła błędu. Nic tu nie przypominało tonących w zieleni stron, do jakich była przyzwyczajona. Urodziła się w stanie Kentucky, w pobliżu Louisville, a wykształcenie zawodowe zdobyła w wielkim, nowoczesnym szpitalu w Lexington. Bywały tam pikniki na łonie natury, w których brali udział młodzi lekarze i adeptki sztuki pielęgniarskiej, sporo jeździło się konno i tańczyło, a w dużym Centrum Medycznym zawsze można było spotkać kogoś, z kim chciało się pogawędzić lub nawet umówić. W swoim dotychczasowym życiu nigdy nie czuła się samotna — aż do wczorajszego wieczoru, kiedy to naraz uświadomiła sobie, że przyjęła posadę prawie dwa tysiące kilometrów od domu.

Zatrudnił ją tajemniczy mężczyzna, którego nie widziała na oczy, nie wiedziała też nic bliższego o pacjencie, poza tym, że było to przykute do wózka inwalidzkiego dziecko.

Anons ukazał się w magazynie pielęgniarskim. Trudi zobaczyła go przypadkowo, a miało to miejsce wtedy, gdy ona i wszystkie kończące naukę dziewczęta rozprawiały o tym, co będą robić po otrzymaniu dyplomu. Z nie wyjaśnionego powodu to ogłoszenie utkwilo jej w pamięci i w końcu, zaciekawiona, wysłała ofertę pocztą.

Ku swemu zaskoczeniu odpowiedź otrzymała bardzo szybko. Matthew Frazier pisał, że jest skłonny zatrudnić świeżo upieczoną pielęgniarkę, ale tylko wtedy, gdy będzie się legitymowała doskonałym świadectwem. Ponieważ sam przypadek był w gruncie rzeczy typowy — porażenie mięśniowe, wózek inwalidzki na zmianę z leżeniem w łóżku, dziecko płci męskiej w wieku dziesięciu lat — i wystarczyło tu jedynie ogólne obycie z tego typu sprawami, jego wymagania wydawały się zbyt wygórowane. Mimo to coś skłoniło Trudi. aby wysłać mu odpis dyplomu. Było w tym trochę przekory i czystej ciekawości, ale też odrobina współczucia dla kalekiego, pozbawionego matki dziecka. Po sześciu czy siedmiu zwięzłych, suchych listach, które same z siebie mogły zniechęcić potencjalną kandydatkę, Frazier wreszcie ją zatrudnił. Wysłał jej bilet w jedną stronę, okazał się też na tyle szczodry, że dołożył do tego pięćdziesiąt pięć dolarów na koszty podróży.

Popijając kawę sięgnęła do torebki, wyciągnęła pomięty anons i rozpostarła go na kołyszającym się z lekka stoliku.

Wdowiec poszukuje pielęgniarki z doskonałym świadectwem do sparaliżowanego dziecka. Ranczo, trzysta morgów pola, przyjemny pokój, niezła pensja. Oferty kierować do...

Trudi złożyła z powrotem wycinek i wsunęła go do torebki. Musi się opanować, wyzbyć uczucia lęku i osamotnienia, zanim pociąg zatrzyma się na małej stacji, gdzie ma wysiąść, a już z pewnością nie wolno jej tego okazać po sobie, gdy znajdzie się na należącym do Matthew Fraziera ranczo. Przecież jeśli jej się tam nie spodoba, jeśli ten Frazier okaże się zbyt wymagający, a przypuszczała, że tak będzie, zawsze może złożyć po upływie trzech miesięcy wypowiedzenie.

Ale to chore, osierocone dziecko... Obojętne, jak ponury i zrzędny będzie mój pracodawca, jeśli tylko chłopiec mnie polubi, zostaną. Zostaną przynajmniej do chwili, kiedy nie będę mogła znieść ani sekundy dłużej widoku tych przeklętych gór!

Była jedyną osobą, która wysiadła w Percy's Pass. Jeśli można się było rozeznąć na pierwszy rzut oka, miasteczko wydawało się równie małe i opuszczone jak wszystkie te miejscowości, przez które przejeżdżała w ciągu ostatnich godzin podróży.

Stanąwszy na peronie z najmniejszą walizką w ręce i torebką przewieszoną przez ramię, rozejrzała się dokoła. W pobliżu dwaj mężczyźni w wysokich butach (przynajmniej kowbojskich!) stali paląc i rozmawiając, a zawiadowca stacji leniwie, najwyraźniej znudzony rozpakowywał paczkę z kilkoma gazetami. Poza nimi nie było nikogo.

To przecież niemożliwe, pomyślała czując, jak narasta w niej niepokój. Chyba po mnie wyjedzie, ostatecznie wszystko zostało uzgodnione! Usiadła na twardej ławce, chroniąc się w skąpy cień na pół uschniętego drzewa. Gorący podmuch przyniósł skądś kawałek gazety i dla ochłody zaczęła się nim wachlować. W Kentucky też bywało gorąco, ale nie aż tak. W każdym razie nie było tego suchego upału, który dławiał w zarodku wszelką wolę działania.

W tym momencie dojrzała samochód, który z niedozwoloną szybkością pędził biegnącą wzdłuż torów wąską drogą, wzbijając tumany żółtego kurzu, wpadł w poślizg, nieledwie otarł się o niepozorny budynek stacyjny i gwałtownie zahamował. Wysiadł z niego w pośpiechu mężczyzna, zatrzasnął drzwi i ruszył wielkimi krokami w kierunku Trudi.

Był wyższy niż większość mężczyzn, których znała, a figurę miał taką, jaką miewają mężczyźni w kowbojskich filmach: wąskie biodra, długie nogi i silne, muskularne ramiona. Ze spalonej słońcem twarzy patrzyły chmurnie szare oczy i przysięgłaby, że można z nich wyczytać niechęć do całego świata.

Podszedł prosto do niej i zdjął kapelusz. Jego włosy dawno nie oglądały fryzjera, lecz przynajmniej jest ogolony i ma na sobie czystą koszulę, skonstatowała w duchu, domyślając się w nim swego przyszłego pracodawcy.

Panna Dalton? Jestem Matt Frazier. Mój samochód stoi tam po drugiej stronie. — Podniósł jej walizkę: — To cały pani bagaż?

Powiedział to bez cienia uśmiechu. Poczula się nieswojo.

— Mam jeszcze dwie walizki w wagonie bagażowym. Pociąg chyba przyjechał za wcześnie...

Nawet na nią nie spojrział. Kiedy pokazała mu swoje walizki, wyniósł je z wagonu, załadował sobie na ramiona i najwyraźniej bez wysiłku zaniósł do samochodu.

Pociąg nigdy nie przyjeżdża wcześniej — zauważył obojętnie. — Zawsze przychodzi o tym samym czasie.

Jego uwaga zabrzmiała niemal grubiańsko, jak gdyby chciał dać jej do zrozumienia, że życie tu, na Zachodzie, ma swój ustalony porządek, a godzina przyjazdu pociągu jest jego częścią.

Rzucił walizki na tył samochodu, najwyraźniej nie przejmując się, że mogłoby się w nich coś stłuc, i wsiadł, nie oglądając się na nią, skinął tylko krótko głową mężczyznom stojącym w pobliżu. Nie pozostało jej nic innego, jak też wsiąść, choćby bez słowa zachęty. Kiedy to zrobiła, zapalił silnik, zręcznie nawrócił auto i ruszył wąską zakurzoną drogą.

Dziwnie było siedzieć obok tego rosłego, milczącego mężczyzny. Płowy pustynny piasek przenikał do wnętrza samochodu i osiadał na wszystkim jak mżawka. Zamknęła oczy i zacisnęła usta, przytrzymując ręką czepek, aby pęd wiatru nie wywał go przez okno. W żadnym wypadku nic żałuję, że nie zadaje sobie trudu, aby prawić mi uprzejmości, pomyślała. To byłoby naprawdę nieprzyjemne, gdyby musiała otworzyć usta i coś mu odpowiedzieć.

Zwróciła ku niemu twarz, obrzucając go szybkim spojrzeniem. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że obserwuje ją spod oka.

— Zapomniałem pani napisać — rzekł podniesionym głosem, aby przekrzyczeć warkot silnika — żeby pani nie ubierała się jak pielęgniarka.

— Słucham? Ach, ma pan na myśli ten wszechobecny kurz? — Przejechała dłonią po lekko już zmiętym kitlu, który z przodu zdążył się już pokryć kurzem. — Nic nie szkodzi, mam jeszcze inne w...

Zwolnił nieco i spojrzął na Trudi ponurym, budzącym lęk wzrokiem.

— Może nie wyraziłem się dostatecznie jasno, panno Dalton — powiedział głuchym, beznamiętnym głosem: — W ogóle nie chcę, aby pani nosiła to, co noszą zwykle pielęgniarki, czepek i tak dalej. Nie życzę sobie, aby zakładała pani to do pracy czy z jakiegokolwiek innej okazji, rozumiano?

Trudi zdumiona wytrzeszczyła na niego oczy, czując, że lada moment wybuchnie, mimo to odpowiedziała w miarę spokojnie:

A co pańskim zdaniem mam nosić, panie Frazier? Pióropusz indiański?

Dopiero teraz przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

— Mojemu synowi z pewnością by się to spodobało. Widzi pani, Rick na razie nie pojmuje powagi swego...problemu. Nie pozwoliłem lekarzom rozmawiać z nim o tym z dwóch powodów: Po pierwsze, nie chcę, aby chłopiec zanadto się przejął swoją sytuacją, a po drugie, według mnie oni sami nie wiedzą, co mówią. — Przyspieszył na nowo. — Gdy pani już

znajdzie się u nas, i to jak ktoś, kto dopiero co opuścił szpital, Rickiem mogłoby to wstrząsnąć. Myślę, że pani zrozumiała, iż nie życzę sobie rozmów na temat jego stanu z nim samym albo choćby tylko w jego obecności. Będę z panią szczerzy popatrzył na nią twardo. — Jedynym powodem, dla którego zatrudniłem taką młodą dziewczynę jak pani, jest to, że wyobrażam sobie, iż będzie kimś w rodzaju koleżanki do zabawy dla mego syna. Wszystko inne jest dla mnie w zasadzie nieważne.

Jego głos brzmiał rzeczowo, lecz Trudi poczuła, że ogarnia ją gniew. W takim razie na czym miały polegać jej obowiązki? Nie miała prawa ubierać się jak pielęgniarka, wyglądało też na to, że nie będzie jej wolno postępować jak pielęgniarce. Zatrudniono ją — ale właściwie po co? Aby bawić się z dziesięciolatkiem?!

— Dojeżdżamy — oznajmił sucho i w tej chwili jej oczom ukazało się ranczo. Na widok urody tego miejsca nieco się uspokoiła. Ranczo leżało w dolinie, rozciągnięte jak leniwe zwierzę, a z trzech stron otaczały je szaroczerwone góry. Oprócz domu mieszkalnego, stojącego na niewielkim wzniesieniu, były tam stajnie, ogrodzony teren pełen doskonale utrzymanych koni i długi barak w tylnej części posiadłości.

— Jak tu pięknie! — wyrwało się Trudi. Gdy usłyszała własny głos, w dodatku podniecony jak głos dziecka, stropiła się nieco.

Ranczo należało do mego dziadka — wyjaśnił. — Wygrał je w pokera.

W pokera? Dobry Boże! A co było stawką dziadka?

— Jego indiańska żona.

Wpatrzyła się w niego ze zdumieniem, ale on najwyraźniej nie zamierzał rozwijać tego tematu. Zatrzymał samochód przed szeroką bramą i wychylił się, choć młody mężczyzna w wytartych dżinsach i spłowiałej koszuli już biegł, aby ją otworzyć.

— Jest tu gdzieś Rick?

— Tak, w stajni. Uważamy na niego.

— Dziękuję. — Wjechał przez bramę, wzbijając kurz, i zatrzymał się przed domem, lecz nie ruszył się z miejsca, jakby czekał, kiedy Trudi wysiądzie. — Gospodyni pokaże pani pokój.

Widocznie chce się mniej jak najszybciej pozbyć, przemknęło jej przez głowę, nie chce mieć w zasięgu wzroku kobiety w przepisowym pielęgniarskim stroju. To chyba jakiś wariat...

— Gdy pani będzie gotowa, zaprowadzę panią do syna.

Gotowa. Oznaczało to oczywiście, że ma się przebrać.

Starsza kobieta, która przywitała ją w drzwiach, wyglądała tak macierzyńsko i dobroniusznie, że Trudi na chwilę zapomniała o swej niechęci do Matta Frazier'a.

Jestem Jessy — przedstawiła się, a jej twarz była jednym wielkim szczerym uśmiechem. — Nie miej takiej przerażonej miny, serduszek. Przyzwyczaj się pani do tutejszych mężczyzn. — Podniosła z ziemi jej największą walizkę. — Chodź tutaj, Harv, i zanieś rzeczy siostry na górę. — Potem znów zwróciła się do Trudi: — Harv to mój syn, ma piętnaście lat. On i Rick są dobrymi kompanami. Uśmiech zniknął z jej twarzy. — Czy Matt opowiadał już pani o chłopcu?

— Powiedział mi tyle co nic — odrzekła Trudi, wchodząc za gospodynią po szerokich, wypastowanych schodach.

W tym dużym, przestronnym domu było coś zagadkowego. Dopiero gdy znalazła się w przeznaczonym dla siebie pokoju i przyglądała się, jak Jessy otwiera okno i wstrząsa poduszki, zrozumiała, co to takiego. Temu domowi brakowało damskiej ręki, czegoś ulotnego, ale i namacalnego zarazem... Ściany nie ozdobił żaden obraz, nigdzie nie uświadczyło się rośliny doniczkowej, nie mówiąc już o kwiatkach na stole. Trudi odniosła wrażenie, że nawet opanowaną, wesołą Jessy Matt Frazier trzyma w korbach.

Czy to był wypadek? spytała Trudi kładąc torebkę na staromodnej, nie zachęcającej toaletce.

Wysoki, kościsty chłopak z takimi samymi niebieskimi oczyma jak Jessy wniósł resztę jej bagażu.

— Wypadek? Och, ma pani na myśli Ricka wyprostowała się Jessy. — Nie, to nie był wypadek. Dziwię się, że Matt przekazał pani tak mało informacji. No cóż, jest trochę małomówny. — Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Musi pani o tym z nim porozmawiać.

Wyszła z synem, zanim Trudi zdążyła zadać dalsze pytania. Przez chwilę stała przy oknie, po czym otworzyła walizkę, zastanawiając się, co na siebie włożyć. Po namyśle wybrała bawełnianą spódnicę i bluzkę z okrągłym kołnierzykiem, rzeczy, które miała wkładać w wolnym czasie, a nie podczas pracy. Zdjęła kitel i czepek i położyła je na półce obok drzwi, a potem, już przebrana, usiadła na taborecie przed toaletką i zaczęła szcztokować włosy. Ta czynność jak zwykle ją uspokoiła i pozwoliła spokojnie pomyśleć.

Nie mogę mieć mu tego za złe, powiedziała do samej siebie. Jeśli dziecko boi się lekarzy i pielęgniarek, trudno się dziwić ojcu, że nie chce dopuścić, aby chłopiec odczuwał przede mną lęk. Była zła sama na siebie, że nie wypytała w listach bardziej szczegółowo o jego stan i kłopoty z mięśniami.

Mimo że umyła twarz i ręce, czuła się nieszczęśliwie. I do tego ta dziwna nerwowość! Niezbyt obiecujący stan w przypadku prywatnej pielęgniarki na pierwszej posadzie.

Zeszła po schodach i stanęła w drzwiach. W domu panowała cisza, jedynie z daleka dobiegały twarde pokrzykiwania i odgłosy, świadczące, że mężczyźni gdzieś w pobliżu ujeżdżają konie. To były znajome dźwięki, które przypominały jej stadninę wujka, leżącą na południe od Louisville.

W tym momencie na werandzie pojawił się Matt Frazier.

Rick już wie, że pani przyjechała. Chce panią poznać. Mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi — powiedziała niepewnie, zmuszając się do uśmiechu. Ten mężczyzna działał na nią paraliżująco.

Nie ruszył się z miejsca, a ona wyczuła instynktownie, że jeszcze chce jej coś powiedzieć.

Jest skazany na wózek inwalidzki.

— Wiem — odrzekła — pisał mi pan o tym w jednym z listów. Nie napisał pan jednak o przyczynach takiego stanu. Wspomniał pan jedynie o jakichś nacieraniach i innych zaleceniach lekarskich.

Oczy Fraziera spochmurniały jeszcze bardziej.

— To miastenia gravis — przerwał jej porywczo. — W każdym razie tak mówią lekarze. A chociaż używają takiej napuszonej nazwy i kręcą bezradnie głowami, ja i tak wiem, że mój syn za trzy miesiące zamieni wózek inwalidzki na końskie siodło.

Trudi wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczyma, owładnięta osobliwym uczuciem. Biedny człowieku, mówisz o ciężkim porażeniu mięśniowym. Niestety z tego nikt się jeszcze nie wyleczył...

ROZDZIAŁ 2

Chłopiec oczekiwał jej w wózku inwalidzkim w pobliżu wielkich, pomalowanych na bijący w oczy pomarańczowy kolor stajni. Na widok ojca wyprostował się, a zaraz potem spojrzenie jego szarych oczu powędrowało do Trudi.

Gdyby dziecko mogło wstać, z zakłopotania ukryłoby ręce za plecami i zaczęłoby grzebać palcami u nóg w piasku, tak jak to robią mali chłopcy na widok młodych pięknych kobiet.

— Cześć — rzucił niedbale Frazier. — Wykonałeś już to, co do ciebie należało, synu?

— Skończę przed kolacją, tatusiu.

Chłopiec nie odrywał wzroku od Trudi. W głosie ojca pobrzmiwała dziwna surowość, gdy rozmawiał z synem, lecz po raz pierwszy odezwał się bez przymusu, takie przynajmniej odniosła wrażenie.

— To panna Dalton. Opowiadałem ci o niej. Chłopiec wyciągnął budzącą litość, chudziutką rączkę, aby się z nią przywitać. Ujęła ją serdecznie i uśmiechnęła się do niego, a w tym momencie wszystkie pogmatwane, niedobre uczucia, jakie wywołał w niej pracodawca, rozwiały się wraz z dotknięciem tej ciepłej, drobnej, drżącej dłoni. Teraz już wiedziała, na czym będą polegać jej obowiązki.

W gruncie rzeczy niewiele można było zrobić dla pacjentów z ciężkim porażeniem mięśniowym, poza tym, że podało się im lekarstwo o właściwej porze, pomogło zmienić pozycję i sprawiło, że czuli się w miarę zadowoleni.

Spodziewała się zastać dziecko, które przejściowo straciło sprawność w wypadku, może dlatego, że spadło z konia, a tymczasem znalazła szczuplutkiego, bladego, na wpół sparaliżowanego chłopca, który wyglądał na wyczerpanego, a mówił o tym, że chce wykonać do końca jakąś pracę. Na jego widok jej serce ścisnęło się, zdjęte zgoła nieprofesjonalnym uczuciem.

Nie wypuszczała małej rączki.

— Masz ochotę pospacerować? Cieszyłabym się, gdybyś zechciał pokazać mi ranczo.

Spodziewając się, że Frazier nie wyrazi zgody, obrzuciła go szybkim, niepewnym spojrzeniem, lecz on ku jej zdumieniu uśmiechnął się. Oczywiście nie do niej, lecz do syna.

— Pokaż jej stajnie, Rick. Panna Dalton pochodzi z Kentucky, a tam hoduje się wiele koni. Oczywiście te nasze tutaj są szybsze i żywotniejsze.

Nie spodobała jej się ta uwaga, mimo to nie rzekła słowa. Stała za wózkiem, chcąc go popychać, ale chłopiec nie czekając pochylił się do przodu, a jego małe rączki pchnęły wózek ze sporą szybkością w kierunku wrót stajni.

— Dostałem od taty konia — pochwalił się idącej za nim Trudi. — Tatusiu, mogę go wypuścić z zagrody?

— Nie, dopóki sam nie będziesz mógł wstać i w razie potrzeby go schwytać. Pokaż jej go tylko. Masz przed sobą dość czasu, aby doskonalić swoje wspaniałe umiejętności jeździeckie, Rick.

Trudi skonsternowana spojrzała na Frazier. Co on, na miłość boską, wyrabia?! Każę dziecku wierzyć, że wkrótce będzie jeździć konno! Jednak nie odezwała się. Nie miała ochoty z nim dyskutować, zresztą zabronił jej to robić przy chłopcu. Rick zatrzymał wózek przed jednym z boksów, i w tym momencie opadł ją strach, a serce zaczęło bić niespokojnie.

Pochodziła z okolic, gdzie spore połacie ziemi porośnięte są niebieskawą trawą, stanowiącą wymarzoną paszę dla koni, i przez całe życie miała z nimi do czynienia, ale jeszcze nigdy nie widziała takiego mlecznobiałego olbrzyma o matowoniebieskich, dziko połyskujących oczach. Koń morderca, pomyślała i instynktownie odepchnęła wózek od boksu.

— To właśnie jest Duch — powiedział z dumą Rick. — Nazwałem go tak, ponieważ jest cały biały. Nie ma jednej ciemniejszej plamki — nawet za uszami.

— Rzeczywiście wygląda jak duch — szepnęła nerwowo. Zwierzę opuściło zad, jakby chcąc zaatakować podkowiemi dzielącą je od ludzi przegrodę i roznieść ją w kawałki. To była zupełnie inna rasa niż te łagodne kasztanki, jakie hodował wujek.

— Może pokażesz mi małe pieski, Rick? Zdaje mi się, że widziałam kilka, gdy wjeżdżaliśmy.

Rick nie wyglądał na zainteresowanego, lecz w przeciwieństwie do ojca odpowiedział uprzejmie, widocznie chcąc jej sprawić radość:

— Należą do pracujących u nas pomocników. Mildred oszczeniła się miesiąc temu i mamy tu teraz dziesięć psów. Chce pani jednego?

— Nie, dziękuję, mam zamiar cały czas spędzać z tobą. Wypchnęła wózek z zimnej, ciemnej stajni na zalane

słońcem podwórze. Frazier oparty o białe ogrodzenie rozmawiał z mężczyzną pracującym przy koniach. Trudi popchnęła wózek w innym kierunku, aby nie być zmuszoną przechodzić obok niego. Gorąco pragnęła jak najszybciej zaprzyjaźnić się z dzieckiem, ale wydawało jej się to niełatwym zadaniem, gdy jego ojciec był w pobliżu.

— Nie powinna pani tego robić — rzekł po chwili Rick. Zatrzymali się niedaleko domu, gdzie mnóstwo brunatnych i białych piesków przepychało się niezgrabnie jeden przez drugiego do miski z jedzeniem. — Mam na myśli popychanie wózka. Tato tego nie lubi. widocznie uważa, że mogę to robić sam.

I zrobił to. Pokazał jej widok na dolinę, zamkniętą potężnymi szaroczerwonymi szczytami, zdających się dosięgać nieba, a potem najnowszą stajnię.

— Tato zbudował ją dla mamy. — W przestronnym pomieszczeniu, wyposażonym w najnowsze urządzenia, było wiele rzędów nie zajętych boksów. Kupił jej konie. Żadne tam indiańskie kucyki, tylko same piękne rasowe okazy. Mama chciała zapraszać gości i urządzać zabawy, więc wybudował jej ten duży barak. Tutaj często odbywały się przyjęcia, ale ja ich nie pamiętam. — Jego wątłe ręce zwisły kompletnie wyczerpane. — Masz ochotę wrócić do domu?

— Tak — potwierdziła pośpiesznie. — I pozwól mi się popychać, będzie nam łatwiej rozmawiać. Brakuje mi tchu, gdy tak muszę biec obok ciebie.

Nie bronił się, gdy zaczęła popychać wózek. Biedne dziecko, pomyślała. Dlaczego ojciec zmusza go, aby sam to robił? Czyżby nie wiedział, że pacjenci z porażeniem mięśniowym szybko się męczą i powinni oszczędzać siły?

Postanowiła przy pierwszej okazji porozmawiać poważnie z Frazierem. Ostatecznie była tu, aby zajmować się chłopcem, musiała więc zwrócić mu uwagę na absurdalność stawianych dziecku wymagań.

W drodze powrotnej rozmawiali niewiele. Rick był wyczerpany, ale musiało kryć się za tym jeszcze coś innego, czuła to przez skórę. Dopiero gdy usiedli razem na werandzie, zrozumiała osobliwie smutny wyraz jego oczu. To z powodu matki. Coś powstrzymuje go od mówienia o niej.

Atmosfera podczas kolacji była, delikatnie mówiąc, przedziwna. Frazier siedział na honorowym miejscu przy długim staromodnym stole, Trudi i Rick naprzeciwko. Rickowi ze zmęczenia zamykały się oczy. Rzuciła szybkie spojrzenie na jego ojca, a widząc malujące się na jego twarzy niezadowolenie, które wzięła za troskę, powiedziała stanowczo:

— Myślę, że czas już iść spać. Twój tato nie ma nic przeciwko temu, prawda, panie Frazier?

Frazier poderwał się gwałtownie od stołu.

— Mam jeszcze coś do załatwienia w mieście — brzmiała jego odpowiedź. — Dobranoc, Rick. Nie zapomnij jutro skończyć tego, co dziś zaczęłeś.

Nawet na nich nie popatrzył. Jego twarz przypominała maskę.

Dwadzieścia minut później Rick był już wykąpany i ułożony do snu. Przysiadła na chwilę obok niego, aby mu poczytać, a kiedy usnęła, otuliła go szczerzej koldrą i pocałowała leciutko w policzek. Uśmiechnął się przez sen i wyciągnął rękę w jej stronę, a może do kogoś, kto mu się właśnie śnił?

Chciała wejść do swego pokoju, gdy u stóp schodów ujrzała Frazierę. Stał obok wózka inwalidzkiego.

— Chciałbym z panią porozmawiać — odezwał się. — To ważna sprawa.

A więc nie miał nic do załatwienia w mieście. To widok wyczerpanego syna wytrącił go z równowagi lub wprawił w złość.

Tak, ja też chcę z tobą porozmawiać, myślała schodząc po schodach.

Poszła za nim na werandę i stanęła przy balustradzie. Rozpalone powietrze ustąpiło miejsca wieczornemu chładowi. Pobliska pustynia i góry wyglądały jak odmienione w świetle księżyca, z oddali od czasu do czasu dochodziły porykiwania bydła i naszczekiwanie psów.

— Mam wrażenie, że dobrze nam będzie razem — zaczęła. — Rick to bardzo miły chłopiec.

W ciemności nie mogła dojrzeć twarzy swego pracodawcy, ale w jego postawie wyczuwała napięcie, które ją zaniepokoiło.

— Któregoś dnia ranczo będzie należeć do niego — powiedział sucho. — To oznacza dużą odpowiedzialność, a im szybciej to zrozumie, tym lepiej. — Podszedł do niej. Wychowuję syna na mężczyznę, panno Dalton. Nie toleruję u niego słabości. Zauważyłem, że pani pchała wózek, gdy wracaliście do domu.

— Ale dlaczego... Tak, to prawda, popychałam wózek i... — Urwała próbując opanować wzbierający w niej gniew. Panie Frazier — oświadczyła w końcu — nie wiem, jakie ma pan pojęcie o porażeniu mięśniowym. Przy tego typu chorobie siły wyczerpują się nawet po bardzo małym wysiłku, a spokój jest...

— Kosztowało mnie sporo czasu, aby skłonić syna, aby sam poruszał się w wózku — przerwał jej ostro. — Już ja się zatroszczę o to, aby z powodu przejściowych trudności nie wyrósł z niego godny pożałowania kaleka!

— Przejściowych?! Lekarze przecież z pewnością poinformowali pana, że...

— To czcza gadanina! — Odwrócił się ze złością i wpatrzył w ciemność. — Jestem przekonany, że Rick wkrótce będzie znów chodzić. I nie tylko chodzić. Będzie jeździć na ogierze, którego mu kupiłem. — Z roziskrzonymi oczami znowu odwrócił się do niej: — I Rick to wie, dla nas

obu jest to pewne. Chyba zrozumie pani, jeśli zażądam, aby utwierdzać go stale w tym przekonaniu? Mój syn chętnie rozmawia o tym koniu. Mogłaby się pani z nim na przykład założyć, że nie potrafi jeździć konno, gdy znów zacznie chodzić, a on wtedy zrobi wszystko, aby wygrać zakład, znam go.

Głos Trudi drżał lekko, mimo to oświadczyła dobitnie:

— Nie rozumiem pana. Nie jestem tu po to, aby się przyglądać, jak poważnie chore dziecko robi rzeczy, które są ponad jego siły, i wyczerpuje się fizycznie. A już na pewno nie będę mu wmawiać, że któregoś dnia zacznie biegać, jakby nigdy nie chorował. To byłoby nie fair wobec niego. Przecież nigdy nie będzie chodził.

— Do diabła, zrobi pani, co każę! Rick zostanie w najbliższym czasie zoperowany, a potem wszystko wróci do normy. — Chwycił ją za ramiona i wpatrywał się w nią z nie tajoną wściekłością. — Wspomniałem w jednym z listów, że prawdopodobnie będzie mu potrzebna opieka pooperacyjna.

To była prawda. Trudi przypominała sobie teraz tę wzmiankę, ale wtedy myślała, że chodzi o powtórne nastawienie kości albo coś w tym rodzaju. Operacja pacjenta z porażeniem mięśniowym mogła oznaczać tylko jedno: wycięcie grasicy, a to oznaczało drastyczną ingerencję z niewiadomym skutkiem.

— Proszę nie wymagać ode mnie, abym okłamywała Ricka. Zrobię wszystko, aby mu pomóc, lecz nie będę mu wmawiać, że będzie jeździł konno i tak dalej. — Odważnie spojrzała w jego nabrzmiałą twarz. — Jeśli chce mi pan wypowiedzieć, proszę to zrobić. Ja w każdym razie chciałabym zostać przy chłopcu. — On potrzebuje kogoś, kto będzie się z nim łagodnie obchodził, pomyślała, nie rozumiesz tego? Potrzebuje czegoś więcej, niż możesz mu dać ty, twardy mężczyzna, stale przypominający mu, że ma być zdrowy i silny. Potrzebuje kogoś, kto będzie dla niego jak matka.

Jak gdyby odczytawszy te myśli, nagle puścił jej ramiona.

Przepraszam — szepnął — nie chciałem zachować się grubiańsko. Oczywiście życzę sobie, aby pani została. Rick nie zaznał za wiele kobiecej opieki, więc odrobinę czegoś takiego dobrze mu robi. Nie za wiele, ale trochę może mu nawet pomóc. Gospodyni ma dość kłopotów ze swym własnym synem, a matka Ricka — cóż, nie ma jej tu od lat.

Nie powiedział: „nie żyje od lat”, lecz „nie ma jej tu od lat”. Co to miało znaczyć? Czy to możliwe, że między rodzicami Ricka nie układało się, zanim umarła? Nie umiała sobie wyobrazić, że mężczyzna, który wybudował dla żony taki duży budynek i sprawił jej tyle cennych koni. Nie miałby jej kochać. Tyle że jego głos nie przypominał głosu osamotnionego,

pograżonego w bólu małżonka. Było w nim coś innego, jakaś dziwna gorycz i zniechęcenie.

Postaram się go za bardzo nie rozpieszczać — przyrzekła wbrew samej sobie i powodowana nagłym impulsem wyciągnęła do niego rękę, a Frazier ujął ją. Był to szybki, zakłopotany uścisk, oznaczający coś w rodzaju tymczasowego zawieszenia broni.

— Lekarz Ricka będzie tu jeszcze w tym tygodniu. Mamy rozmawiać o operacji. Chciałbym, aby pani uwierzyła, że Rick po niej wyzdrowieje. Tak byłoby lepiej dla niego.

— Spróbuję odparła cicho.

— Proszę mówić do mnie Matt. Mam nadzieję, że nie obrazi się pani, gdy też będę jej mówił po imieniu? Nie mamy tu zwyczaju bawić się w konwenanse. — Na moment uśmiech rozjaśnił jego twarz.

Trudi odpowiedziała tym samym, uświadamiając sobie nagle osobiwą siłę i urok, jakie były od tego człowieka. Niemal przerażona swym odkryciem, życzyła mu co prędzej dobrej nocy i z zamętem w głowie zaczęła wchodzić po schodach. Nie opuszczało jej wrażenie, że odprowadza ją wzrokiem, lecz nie obejrzała się ani razu. Dziwny z niego człowiek...

Zajrzała jeszcze na palcach do pokoju Ricka, naciągnęła na niego kołdrę, a potem wróciła do siebie, usiadła przy otwartym oknie i zapatrzyła się w przestrzeń. W parę sekund później usłyszała trzask pocieranej zapalki.

A więc Matt wciąż jeszcze był na werandzie. Może spoglądał na góry i myślał o swej żonie?

Na moment zamknęła oczy, próbując uporządkować myśli. Dlaczego Matt wspominał ją z goryczą? Dlaczego obstawał przy tym, aby traktować syna jak silnego, zdrowego chłopca, chociaż wcale tak nie było? I skąd nabrał tej niezachwianej pewności, że drastyczna operacja uzdrowi dziecko, choć szanse na to były znikome?

Z zadumy wyrwało ją skrzypnięcie otwieranych, a potem zamykanych drzwi. Słyszała, jak wchodzi po schodach, a potem do pokoju Ricka. Oczyma wyobraźni widziała, jak przygląda się wążemu, kruchemu ciału kalekiego dziecka, i jej serce ścisnęło się współczuciem.

Potem znów usłyszała kroki. Czyżby jej się wydawało? Jakby nieco zwolniły przed jej własnymi drzwiami...

ROZDZIAŁ 3

Życie Trudi w Brandywine wkrótce się unormowało. Swoją nazwę ranczo wzięło od rzeczki płynącej zakolami przez pastwiska Matta. Była mała, lecz dawała wytchnienie w skwarze dnia i Trudi nabrała zwyczaju spacerowania nad nią z Rickiem. Brała go na ręce, sadzała obok siebie na brzegu i moczyli nogi w czystej, chłodnej wodzie.

W pierwszych dniach towarzyszył im owczarek, suka Queenie, ale po tygodniu oszczeniła się i zostawała teraz w stajni przy potomstwie, wychodząc tylko wtedy, gdy usłyszała, jak wracają.

Zaraz pierwszego dnia swego pobytu na ranczo Trudi wywalczyła u Matta zgodę na to, żeby przez najgorętsze trzy godziny Rick wypoczywał. Nie obyło się wtedy bez małej kłótni. Gdy Matt zauważył, że Ricka nie ma ani w stajniach, ani nie bawi się z Queenie, wpadł w złość i poddał się dopiero wtedy, gdy przypomniała mu, że ostatecznie zatrudnił ją po to, aby opiekowała się najlepiej jak umie jego synem.

W drugim tygodniu jej pobytu na ranczo Matt niespodziewanie oświadczył, że Rick potrzebuje czegoś, co by podsyciło jego zainteresowanie końmi.

— Chciałbym, abyś pojechała z nim do miasta — zakomunikował.

Było po jedenastej. Właśnie położyła chłopca, aby odpoczął, i usiadła na obszernej frontowej werandzie, zamierzając napisać list do rodziców.

Podniosła wzrok na Matta. Stał tuż obok oparty o balustradę i przyglądał się jej lekko zmrużonymi oczami. Jego niespodziewana bliskość sprawiła, że jej serce zaczęło bić szybciej.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyjazd do miasta w taki gorący, duszny dzień może umocnić w nim zainteresowanie tym przeklętym ogierem. Chyba nie chcesz zaproponować, aby...

Matt uśmiechnął się.

— ...aby pojechał na Duchu do miasta? Nie, jeszcze nie. Dopiero wtedy, gdy będzie zdrowy, a my go całkiem ujeździmy. — Podszedł jeszcze bliżej i rzekł spokojnie, choć w jego głosie można było doszukać się nuty nieugiętego postanowienia. — Rzecz w tym, że nie mam zamiaru niczego proponować. Po prostu życzę sobie, abyś towarzyszyła Rickowi i pomogła mu wybrać w mieście nowe siodło. Jeśli chcesz, weź ze sobą Jessy, z pewnością aż się pali, żeby zrobić zakupy. — W drzwiach jeszcze raz się zatrzymał. — Jeśli będzie chciał czegoś więcej, weź na mój rachunek. Potrafisz prowadzić samochód?

— Ttak... — wyjąkała zaskoczona.

— Dobrze. Stoi w garażu. — Wszedł do domu zatrząskując za sobą drzwi.

Owszem, umiem prowadzić samochód, pomyślała w przyływie złości, ale czy dam sobie radę z tym zardzewiałym, hałaśliwym gratem?

Dała sobie radę. Kiedy Rick siedział umyty, ubrany i z rozpromienioną twarzą czekał chwili wyjazdu, zeszła na dół i wyprowadziła z garażu samochód. Jego silnik pracował co prawda głośno, ale bez zarzutu. Naturalnie, to byłoby niepodobne do Matta, gdyby trzymał w domu coś, co nie funkcjonuje prawidłowo. Tak jak nie pogodziłby się ze źle funkcjonującym samochodem, tak nie chce przyjąć do wiadomości choroby własnego syna. Nie przyjąć do wiadomości. Tak, to dobre określenie. Oczywiście kochał go na swój sposób i był dla niego dobry. To, że nie pozwalał go rozpieszczać, nie miało z tym nic wspólnego. Jednakże było jasne, że pragnie zdrowego, silnego fizycznie syna, takiego jak on sam.

Takie myśli przyszły jej do głowy, gdy czekała w samochodzie na Ricka i Jessy. Spojrzała w kierunku zagrody, gdzie Matt i może z dziesięciu kowbojów pracowało z końmi. Stał pochylony do przodu wewnątrz ogrodzenia i pokrzykując próbował złapać na łąso oszalałego ze strachu konia, który mიაł się po zagrodzie. Kiedy udało mu się go schwytać, mężczyźni zaczęli klaskać, wyrażając głośno uznanie, lecz Matt nie zwracał na to uwagi, tylko szybkimi ruchami przyciągnął zwierzę do siebie, a przemawiał do niego tak cicho, że Trudi nie mogła dosłyszeć słów. Wyglądało to tak, jakby jego osobisty urok działał nawet na konie. Poklepał aksamitny zad bułanej klaczy i powiedział coś do niej łagodnie, tak że natychmiast się uspokoiła i można ją było odprowadzić do stajni.

Jeśli ktoś tak obchodzi się z koniem, to jaki musi być w stosunku do kobiet, pomyślała w nieoczekiwanym przyływie zazdrości, który dla niej samej był zaskoczeniem, próbując wyobrazić sobie, jakie kobiety Matt preferuje. Z pewnością ma ich kilka w Percy's Pass. Dojrzałe kobiety, towarzyskie i łagodne, wielkoduszne i pociągające. A może jest tylko jedna?

Jej myśli powędrowały daleko, lecz ukazanie się w drzwiach Ricka i Jessy przywołało ją do rzeczywistości. Wsiadła z samochodu, aby popchnąć wózek z chłopcem, a potem ostrożnie umieściła Ricka na tylnym siedzeniu. Przejeżdżając obok ogrodzenia, gdzie Matt rozmawiał z kowbojami, dojrzała smutek na jego opalonej twarzy, gdy odprowadzał wzrokiem samochód i machającego mu na pożegnanie syna. Pewnie i on nie wierzy, że Rick kiedykolwiek będzie używał tego siodła, może nawet stracił nadzieję, że chłopiec będzie kiedyś na tyle silny, aby móc jeździć konno...

To dziwne, jej serce wyrywało się do Matta. Wmawiała sobie, że kieruje nią współczucie, że zaangażowała się w sprawę chorego dziecka, a tym samym musi myśleć też o jego ojcu, brać pod uwagę targające nim uczucia i próbować go zrozumieć. Wszakże było w tym jeszcze co innego, coś, co przeczuwała, a czemu na razie nie potrafiła nadać nazwy. Bała się nawet o tym myśleć. Zakochać się w kimś takim jak Matt Frazier byłoby strasznym, rozdzierającym serce nieporozumieniem. Równie dobrze mogłabym zakochać się w grzechotniku, pomyślała gorzko.

Ledwie ujechali parę mil, a Rick zmęczył się i usnął na tylnym siedzeniu. Jessy nakryła go swoim cienkim żakietem, a potem podniosła tylną szybę dla ochrony przed kurzem. Do tej pory mówiła niewiele, lecz nagle wybuchnęła:

— Co za straszliwe marnowanie pieniędzy! Kazał kupić siodło dla tego podstępного diabła, którego mu podarował! Nikt go nie ujarzmi — jest na to za dziki. Poza tym stan chłopca nigdy nie poprawi się na tyle, aby mógł jeździć konno. Matt to wie, w głębi serca na pewno to wie, lecz nie chce się do tego przyznać, taki jest uparty, panno Dalton. Jest dosłownie opętany na punkcie syna, tak jak kiedyś był opętany na punkcie żony.

Ręce Trudi niebezpiecznie zdrzęzały. Ona też nie chciała przyznać się sama przed sobą, że wiele myśli o jego tajemniczej żonie i matce chorego dziecka.

— Dawno... dawno umarła? — spytała starając się ukryć podniecenie. Nie chciała wydać się osobą ciekawską, choć z drugiej strony byłoby jej łatwiej zrozumieć emocjonalne potrzeby Ricka, gdyby dowiedziała się czegoś o jego matce. W każdym razie tak to sobie tłumaczyła...

Jessy obrzuciła wzrokiem tylne siedzenie, a kiedy się upewniła, że chłopiec śpi i nie może jej słyszeć, skinęła głową, a jej pochmurna twarz przybrała gniewny wyraz.

— Dziewięć lat temu. Rick miał rok, gdy to się zdarzyło. Oczywiście nie pamięta jej, ale wie chyba, że robi lepiej, jeśli nie będzie wypytywał o nią ojca.

— Ale właściwie dlaczego nie miałby rozmawiać o swej matce z ojcem?

— Bo Matt nie chce o niej rozmawiać. Ani z synem, ani z nikim innym.

— Jej usta ułożyły się w twardy grymas. — Gdy tak się zastanowić, trudno mu brać to za złe. Miała wszystko, czego może sobie życzyć kobieta — i podeptała to. Im obu jest lepiej bez niej, takie jest moje zdanie.

Trudi przeniknął dreszcz. Poznała Jessy jako dobroduszną kobietę, niezdolną do powiedzenia czegoś aż tak strasznego, czekała więc z cichą nadzieją, że gospodyni jeszcze coś opowie, ta jednak milczała. Jej wielkie

silne ręce spoczywały splecione na podolku i na razie nic nie wskazywało na to, że przerwie panującą w samochodzie ciszę.

Gdy przybyli do Percy's Pass, było już dobrze po południu. Jessy wskazała drogę do jedynej kawiarni z klimatyzacją, należącej do kompleksu hotelowego.

Trudi zaparkowała i ostrożnie zbudziła Ricka, kładąc mu dłoń na policzku.

— Myślę, że jest już czas na małą przekąskę i kubek chłodnego mleka. Potem pokażesz mi, gdzie się kupuje te wspiane siodła.

Usiadł, a jego delikatna ładna twarzyczka wyrażała zaskoczenie.

— Ojej, nie myślałem, że dojedziemy tak szybko. Jessy, przecież mi przyrzekłaś, że zatrzymamy się przy grobach.

— Jakich grobach? — zdziwiła się Trudi wyciągając z samochodu wózek inwalidzki.

— Jessy nie opowiedziała ci o rodzinie Percych? Zsunął się zręcznie z siedzenia samochodowego na wózek. Widać Matt wpoił synowi przekonanie, że ma radzić sobie sam, i rzeczywiście, Rick zdawał się liczyć tylko na siebie.

— Nie — odparła Trudi, gdy zbliżali się do staroświeckiej budowli. — Wejdzmy do środka, tam jest chłodno. Nie chcę z tobą nigdzie chodzić, dopóki nie zjesz podwieczorku.

Dzień upłynął przyjemniej, niż Trudi się spodziewała. Ze zdumieniem zauważyła, że sprawia jej przyjemność należenie w pewnym sensie do rodziny Matta. Była teraz częścią określonej całości, należała do kręgu osób, którym wydawał polecenia, od których czegoś wymagał i o których się troszczył. Tak, troszczył się o nią. Dwa razy ją ostrzegł, aby nie zbliżała się do nie ujeżdżonych koni, i Trudi była w duchu zachwyconą szorstką troską, jaką odkryła w jego głosie. Oczywiście nie mógł wiedzieć, że tak dobrze jeździ konno jak każdy z jego ludzi, a może nawet lepiej. Któregoś dnia, pomyślała przyglądając się, z jakim apetytem Rick pochłania jedzenie, zaskoczę go! Po prostu dosiędę tego narowistego białego ogiera! Ale się zdziwi!

Ta myśl rozweseliła ją, a Jessy, widząc, że się uśmiecha, dotknęła lekko jej ręki i rzekła:

— Wiem, o czym pani myśli, panno Dalton.

— Naprawdę? Pomyślałam, że skoro Rick tak chętnie je, powinniśmy częściej przyjeżdżać do miasta. Jego ojciec ma rację — nowe otoczenie dobrze mu robi. Wypij mleko, Rick, i ruszmy na poszukiwanie siodła.

Chłopiec uśmiechnął się i duszkiem wypił cały kubek.

— Przypuszczam, że to miło poczuć się znów pielęgniarką — powiedziała Jessy. Odczekała, aż Rick podjechał wózkiem do stoiska z komiksami. — Mogę sobie wyobrazić, z jakim trudem przychodzi pani przeciwstawić się Mattowi. gdy wasze zdania na temat tego, co jest słuszne dla chłopca, różnią się zasadniczo. Ale proszę zawsze pamiętać o jednym: szorstkość w obejściu, jaką Matt wykazuje, ma swoje powody. — Spojrzała na Ricka, znajdującego się w tej chwili za szklanymi drzwiami wiodącymi do hallu hotelowego. — Syn jest dla niego wszystkim, jego całym życiem, tak jak kiedyś była ona.

Trudi umierała z ciekawości, ale dopiero wtedy, gdy dzień zaczął chylić się ku zachodowi i byli już w posiadaniu błyszczącego, zdobionego srebrem siodła, odważyła się zadać pytanie:

— Jak zmarła pani Frazier?

Stało się to w drodze powrotnej, kiedy słońce zachodziło, oblewając okolicę złotą poświatą. Rick spał na tylnym siedzeniu, przycisnąwszy policzek do nowego siodła.

— Wypadek samochodowy — odparła krótko Jessy. Obojętność w jej głosie wydała się Trudi. zagadkowa.

Beznamiętny sposób, w jaki wyrażała się o tej kobiecie, zupełnie do niej nie pasował.

Milczały przez chwilę, wpatrzone w olbrzymie ogniste słońce, znikające już za szczytami. Z przerażającą nagłością wszystko spowija ciemność, a niesamowita cisza pustyni i gór sprawiła, że Trudi przeszły dreszcz.

- Groby — Rick coś mówił o grobach. Czy to...

— Te groby nie mają nic wspólnego z jego matką przerwała jej porywczo Jessy. — Nigdy by się nie interesował tak bardzo historią Percych, gdyby śmierć matki nie pozostawiła w jego życiu wielkiej luki. Widzi pani ten najwyższy szczyt po tamtej stronie? — wskazała palcem prostując się. — Tam są pochowani, cała rodzina. Niech spoczywają w pokoju. Miasto zostało nazwane od ich nazwiska, zresztą mnóstwo tutejszych nazw pochodzi od nazwisk ludzi, którym zdarzyło się coś strasznego. W okresie gorączki złota zmierzali do Kalifornii, lecz nigdy nie udało im się przekroczyć tej przełęczy.

Trudi spojrzała z lękiem na potężną, ciemniejącą w mroku górę.

— Rick tak mówił o nich, jak gdyby... jak gdyby coś dla niego znaczyli.

— Bo też znaczą. Do czasu swej choroby jeździł tam co tydzień i składał polne kwiaty na ich grobach. Interesował się głównie matką — Annabelle Percy. Chciał wiedzieć, jak wyglądała, czy była piękna. Jak gdyby ktoś z nas mógł mu to powiedzieć. Biedne dziecko tęskniło za własną matką, a

ponieważ ojciec nigdy o niej nie mówi, wynalazł sobie matkę ze snów, chyba można tak powiedzieć.

Serce Trudi na moment zamarło. „Matka ze snów”. Jakże musiał być samotny ten mały chłopiec!

— Była piękna?

Jak gdyby odgadnąwszy, jaki to tajemny powód kazał zadać Trudi to pytanie, stara kobieta zniżyła głos i odrzekła z goryczą:

— Oczywiście pyta pani o żonę Matta. Tak, była piękna. Wyjątkowo piękna. Ale wewnątrz była zepsuta. Skłoniła go, aby się z nią ożenił, zanim jeszcze zdołał ją dobrze poznać. Potem, kiedy urodziło się dziecko, chodziła po ranczu żaląc się i lamentując. Zachowywała się opryskliwie, przysięgała, że zwariuje z nudy. Matt chyba myślał, że to szok po porodzie, dlatego znosił wszystko cierpliwie. Przywiodła go do tego, że wybudował jej stajnię na więcej niż tuzin koni. Pewnie myślał, że się przyzwyczai, gdy będzie miała czym się zająć. Ale i to nie pomogło.

W powietrzu wisiało napięcie. Trudi jechała wolniej, starając się nic nie uronić ze słów starej kobiety.

— W tydzień potem, jak Matt kupił jej konie — ciągnęła Jessy — Sandra uciekła z jednym z jego ludzi. Chwytał strzelbę i wybiegł ich szukać. Umieraliśmy ze strachu, co robi... lecz nikt nie zawiadomił szeryfa. — Jej głos zdrzął. — Poszedł do stajni. Wiedzieliśmy, że stracił panowanie nad sobą i z pewnością wystrzela konie, które jej kupił. Ale zanim do tego doszło, zadzwonił telefon.

Serce Trudi skoczyło do gardła.

— Telefon?

Opanuj się! upomniała siebie w duchu. To nie twoja sprawa! Jakie masz prawo o to wypytywać?! Mimo to jechała jeszcze wolniej, cała zamieniona w słuch.

— Znalaziono samochód. Ten nowy, który otrzymała od niego w prezencie po urodzeniu Ricka. Oboje zginęli — ona i jej kochanek. Runęli w przepaść. Widzi pani światła samochodów, o tam? Stamtąd spadli.

Ciarki przeszły jej po plecach, gdy patrzyła na niemal pionową skałę. Tam, górą, nad przepaścią, wiodła dość uczęszczana szosa, a potem schodziła w tonącą w tej chwili w ciemnościach dolinę.

— To musiało być straszne dla Matta — szepnęła, mimo woli nazywając go wobec Jessy po imieniu. Ta jednak nie zwróciła na to uwagi, pogrążona w przerażających wspomnieniach tamtej dawno minionej nocy.

— Myśleliśmy, że natychmiast zabije konie — powiedziała w zadumie.
— Kiedy wrócił z kostnicy, oczekiwaliśmy wszyscy, że wystrzela konie, z

których każdy był tak dziki i piękny jak ona. Ale tego nie zrobił. — Głos starej kobiety znów zadrżał. — Płakał. Przyszłam tu na ranczo zaraz po ślubie. Matt był wtedy małym chłopcem, lecz nigdy nie widziałam go płaczącego, nigdy, aż do tamtej nocy, kiedy ona zginęła. Nie zabił koni, porozdawał je. Tak szybko jak mógł. A warte były z górą dwadzieścia tysięcy dolarów. Zawiózł ciało Sandry do Portland i tam je pochował, a gdy wrócił, jego całym życiem stał się Rick. — Westchnęła, a Trudi zaskoczona stwierdziła, że jej twarz jest mokra od łez.

Właśnie wjeżdżali na ranczo. Po raz pierwszy Trudi przeczytała słowa widniejące na łuku bramy. BRANDY WINE, MATTHEW FRAZIER I SYN.

Nic dziwnego, że Matt wpadł w depresję, gdy Rick zachorował, myślała podjeżdżając pod dom wąską drogą. To Rick miał mu wynagrodzić zdradę i nadać jego życiu sens.

Biorąc na ręce śpiącego chłopca, aby wnieść go do domu, raptem doznała olśnienia i poznała prawdę, którą najchętniej ukryłaby nawet przed samą sobą. Z czułością przytuliła wątłe ciało dziecka. Tak, tak, stało się, pokochałam Matta Frazier, a chociaż wiem, że nie odwzajemni mej miłości i przysporzy mi wiele smutku, nie umiem się przed tym uczuciem obronić...

ROZDZIAŁ 4

W ciągu następnego tygodnia obfite opady deszczu przerwały większość prac na rancho. Przyszło to tak niespodziewanie, że nawet Matt nie umiał sobie znaleźć zajęcia. Kiedy Trudi jeździła na spacer z Rickiem, któremu jazda samochodem sprawiała przyjemność, widziała kowbojów siedzących przy otwartych drzwiach i oknach swoich kwater i grających w karty. Ostatecznie wykorzystano ten czas na pobielenie stajni w środku i dokonanie koniecznych napraw w domu. Mimo to Matt czuł się bezsilny. Gniewało go, że pogoda zmusza go do marnowania czasu, i niecierpliwie czekał momentu, kiedy znów będzie mógł podjąć pracę z końmi. Nie umiał siedzieć w czterech ścianach. Przez dwa dni nawet pracował z kucykami w ulewnym deszczu, ale kiedy jeden z nich potknął się i runął w błoto, nie kazał ich już więcej wyprowadzać na zewnątrz i trenował je w miarę możliwości w stajni.

Jego stała obecność w domu wywierała na wszystkich zaskakujący wpływ. Zwykle bywał tam tylko w czasie posiłków. Wtedy rozmawiał z Rickiem albo przebierał się, zamierzając jechać do miasta, i tyle go widziano. Teraz Trudi miała wrażenie, że nieustannie czuje na sobie jego pochmurny, baczny wzrok. Wieczorami, kiedy siedział u szczytu stołu, a ona z Rickiem naprzeciwko, czuła, z jaką niecierpliwością oczekuje końca kolacji, aby iść do siebie na górę, wziąć prysznic i przebrać się. Była pewna, że w mieście czeka na niego kobieta. Przysłuchiwała się uważnie, gdy spokojnie, niemal wesoło rozmawiał z synem, mimo to nie opuszczało jej przeświadczenie, że spieszo mu do tamtej. Zachodziła w głowę, jaka to może być kobieta. Starsza, doświadczona i serdeczna, koleżeńska i czuła kochanka zarazem? A może bardzo młoda, piękna i samolubna, która brała od niego wszystko, nie dając wiele w zamian? Zła była na siebie, że za wszelką cenę pragnie odgadnąć stan jego uczuć, lecz nic nie mogła na to poradzić, to było mocniejsze od niej.

Nie, z pewnością nie wiązałyby się z taką dziewczyną, zdecydowała. Kiedyś już był żonaty z kobietą tego pokroju i przeszedł z nią piekło. Kimkolwiek była, musiała to być kobieta, która umie kochać i dawać. Ta świadomość sprawiała, że trudno jej się było uśmiechnąć, gdy życzyła mu dobrej nocy...

Wreszcie deszcz przestał padać, a jego miejsce zajął wiejący od gór wiatr, który wszystkiemu, co przedtem było zakurzone i wyblakłe, nadawał odświeżony, błyszczący czystością wygląd.

Jednego z takich wieczorów Trudi siedziała na werandzie, z uczuciem osamotnienia spoglądając w ciemność. Właśnie dojrzała światła samochodu skręcającego do Brandywine. Matt zaraz po kolacji wyjechał, zapowiadając, że wróci późno, ale widać nieoczekiwanie zmienił zamiary. Mimo to nie spodziewała się, że usiądzie obok i choć przez chwilę dotrzyma jej towarzystwa.

Kiedy nie mógł pracować na dworze z powodu deszczu, sprawiał wrażenie wielkiego zwierzęcia zamkniętego w klatce. Słyszała, jak długo wieczorami spaceruje po pokoju, a potem zwykle schodzi do spiżarni, gdzie trzymano różne gatunki alkoholu. Czuła, że próbuje przed czymś uciec, a im dłużej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że zna odpowiedź: to była choroba Ricka.

Matt nie tylko obawiał się, że jego syn może do końca życia zostać kaleką, on się bał, że Rick może umrzeć. To właśnie od tego uciekał podczas bezsennych nocy, kiedy schodził na dół, aby nalać sobie brandy albo siedział długie godziny sam na werandzie, paląc i rozmyślając.

To był rzeczywiście Matt, doskonale znała tę głošną pracę silnika. Samochód zahamował ostro, Matt wysiadł, zatrzasnął drzwi i wbiegł po schodach na werandę. Była zdziwiona, kiedy nie ograniczył się do skinienia głową i zdawkowego pozdrowienia, lecz stanął przy niej uśmiechając się.

— Rozkoszujesz się nocnym powietrzem? Zwykle nie jest tu tak zimno. W Percy's Pass ludzie mówią, że ktoś musiał rozgniewać boga deszczu i stąd te anomalie pogodowe.

Zdumiona podjęła niezobowiązującą rozmowę.

— Dla mnie nie ma w tym nic niezwykłego. Pochodzę ze stron, gdzie często pada.

Oparł się o balustradę werandy tuż obok i zapalił fajkę. Trudi zdążyła się już zorientować, że pali doskonały tytoń, gdy jest w dobrym humorze i czuje się rozluźniony, a po papierosy sięga w chwilach zdenerwowania.

— Czy Rick zjadł porządnie kolację? Chciałbym, aby przybrał na wadze. Trudi nie chciała psuć przyjaznej atmosfery, ale wrodzona szczerość nie pozwoliła jej milczeć.

— Pacjenci z porażeniem mięśniowym nie przybierają łatwo na wadze, musisz to zrozumieć. Zauważ, kiedy Rick jest zmęczony, mówi zdecydowanie wolniej i ma kłopoty z przełykaniem. Dlatego obstaję przy tym, aby dużo wypoczywał, dla niego to niezmiernie ważne.

Zdumiała ją, że Matt nie zaproponował jak zwykle, pokiwał tylko głową, zapalił na nowo fajkę i wpatrzył się w ciemność.

Trudi obserwowwała jego zdecydowany profil, rysujący się śmiałą linią na tle nieba, a jej serce zaczęło bić jak szalone. Prędko sięgnęła po książkę, którą czytała, zanim zapadła noc, i rzekła wstając:

— Idę spać. Zrobiło się późno.

— Zostań jeszcze chwilę, chciałbym z tobą pomówić.

— Pomówić? — spojrzała na niego zdziwiona. — O czym? Jego oczy były teraz bardzo ciemne, jak nocne niebo po burzy.

— O moim synu. I o nas.

Trudi zakręciło się w głowie z wrażenia. Nadzieja, ciepło i słodycz tej chwili zalały ją gorącą falą.

— O nas?

— Tak — potwierdził. — Zrobiłem chyba błąd, nie chcąc słuchać tego, co mówisz. Choćby tego, że Rick musi dużo wypoczywać. A przecież płacę ci za to, żebyś się nim opiekowała.

Trudi milczała. Matt odwrócił się i zaczął mówić szybko, wręcz niechętnie:

— Mój syn bardzo cię lubi i prosił mnie, abym się z tobą nie kłócił. Ale to chyba niczego nie zmienia, prawda? Ostatecznie mam prawo powiedzieć, co myślę o postępowaniu z moim własnym dzieckiem.

A ona, głupia, myślała, że chce porozmawiać o czym innym, nie o jej obowiązkach pielęgniarki!

— Naturalnie, to niczego nie zmienia — odrzekła chłodno. — Jesteś ojcem pacjenta i możesz stawiać warunki.

— A teraz inna sprawa. Byłem dziś wieczór w mieście z powodu telegramu, jaki otrzymałem przed kilkoma godzinami. Nie chciałem poprzestać na wysłuchaniu wiadomości przez telefon, musiałem go zobaczyć na własne oczy. Minęłyby wieczność, zanim stary doręczyciel by tu zajrzał. W Percy's Pass nikt się nie śpieszy. Są dobre nowiny, Trudi.

Trudi. Starła się nie dać poznać po sobie, jakie uczucia wyzwolił w niej dźwięk własnego imienia na jego wargach.

— Dobre nowiny? — powtórzyła nie rozumiejąc.

— Chodzi o Ricka. Dzwoniłem do specjalisty z San Francisco — najlepszego w Stanach, a pewnie i na całym świecie. Od dwóch miesięcy zabiegam o to, aby przyjechał tu i zbadał go' na miejscu, ustalił terapię i sam podjął się przeprowadzenia operacji. Jest bardzo zajęty, ma olbrzymią praktykę, ale udało mi się złapać go w klinice.

Dopiero teraz pojęła. Był podekscytowany, gdyż lekarz wyraził zgodę, stąd ta przyjacielska rozmowa na początku. Nielatwo było kochać Matta Fraziera, może zresztą nie potrafiłby już nikogo obdarzyć uczuciem, tak

ciężyla na nim przeszłość. Z pewnością dotyczyło to też jego przyjaciółki w mieście. Bóg z nią, niechże się tylko w nim za bardzo nie zakocha.

— Czy to może chodzi o doktora Fieldinga? Josepha Fieldinga? — Sympatia dla Ricka pomogła jej przezwyciężyć zranioną dumę, że Matt nie domyśla się jej uczuć względem niego.

— Joseph Fielding to jego ojciec. Lekarz, z którym nawiązałem kontakt, nazywa się David. Dowiadywałem się o niego i usłyszałem, że jest tak samo uzdolniony i pracowity jak ojciec. Joseph Fielding wycofał się w zeszłym roku z życia zawodowego.

— Tak, teraz sobie przypominam — potwierdziła Trudi. — Zaraz na początku nauki pojechałyśmy do Centrum Medycznego w Indianapolis, aby asystować przy operacji bliźniąt syjamskich, którą przeprowadzał młody Fielding wraz z ojcem. Dzieci nie miały wielkich szans, a jednak przeżyły i mają się dobrze. Dwa lata później pisałam o tym pracę dyplomową. Przypominam sobie doskonale młodego doktora Fieldinga. Jest naprawdę zdolny.

Matt uśmiechnął się, zapatrzony w przestrzeń. Ten uśmiech, będący niecodziennym gościem na jego twarzy, wywołała nadzieja. Wierzy, że jego syn znów będzie biegać, pomyślała Trudi, a wszystko za sprawą cudotwórcy, który przeprowadzi operację.

— Dziękuję ci, że jesteś taką dobrą towarzyszką dla mego syna — rzekł wyciągając do niej rękę. — Twoja obecność znaczy dla niego bardzo wiele. Może nie zawsze się we wszystkim zgadzamy, ale w gruncie rzeczy stanowimy razem świetny zespół i wspólnie wyleczymy chłopaka.

Jego dotknięcie przeniknęło ją do głębi, wywołując drżenie. Milczała zasmucona. Widać spodziewała się zbyt wiele... Naraz puścił jej dłoń.

— Jeszcze jedno. Muszę cię prosić o przysługę.

— Jeśli to ma na celu dobro Ricka... — powiedziała opanowawszy się — to nie potrzebujesz mnie prosić. Zrobię dla niego wszystko.

— Ten lekarz — zaczął zakłopotany — przyjedzie tu dwa tygodnie przed operacją. Chciał, aby lekarze w najbliższym dużym mieście, Anderson, zbadali Ricka i przygotowali go do operacji, lecz nie zgodziłem się na to. Chcę, aby robił wszystko sam, i jestem skłonny mu za to sporo zapłacić. A więc gdy przyjedzie, chciałbym, abyś... — urwał szukając odpowiednich słów — abyś była dla niego uprzejma.

— Uprzejma? — Właśnie szła do drzwi. Owa świeżo nabyta pewność Matta, że los syna przybierze dobry obrót i Rick za kilka tygodni będzie zdrowy, mocno ją zaniepokoiła. — Oczywiście, że będę dla niego uprzejma. Jeszcze nikt nigdy mi nie zarzucił złego odnoszenia się wobec lekarza.

— Poczekaj — krzyknął — nie rozumiałaś mnie. Nie, pomyślała, i nawet nie chcę tego zrozumieć. Jeśli mam coś zrobić, dlaczego nie dasz mi po prostu polecenia? Przecież jesteś przyzwyczajony do rozkazywania.

— O co w takim razie chodzi? — zwróciła się do niego ze spochmurniałą twarzą.

— Ten człowiek jest znanym lekarzem — powiedział Matt niemal z wysiłkiem, co ją wyraźnie zaskoczyło. — Może zanudzić się na śmierć w tym nędznym hotelu w Percy's Pass. Nie ma tam żadnych sensownych rozrywek. Nie będzie miał nic do roboty, ma tylko zbadać mego chłopca. Byłbym zadowolony, gdybyś może wybrała się z nim na kolację, porozmawiała trochę, żeby mu nie było spieszno wracać do San Francisco. Chciałbym, aby tu został do czasu, kiedy Rick znów będzie zdrowy.

Z wściekłości napłynęły jej łzy do oczu.

— Jeśli sobie wyobrażasz, że będę czymś w rodzaju przynęty, że będę go czarować, aby tylko został, to się grubo mylisz. Nie bądź naiwny, Matt. Daję głowę, że jeśli Fielding stwierdzi, iż nie będzie mógł pomóc twemu synowi, wróci pierwszym samolotem do San Francisco. To już taki człowiek. Przypominam sobie, że za tamtą operację na bliźniętach syjamskich ani on, ani jego ojciec nie wzięli marnego centa. To, czego ode mnie żądasz, nie należy zresztą do mych obowiązków, prawda?

Zamiast zawstydzić się, że uczynił jej taką propozycję, rzucił szorstko:

— Prosiłem cię tylko, abyś poszła z nim na kolację. Oczekuję lojalności od ludzi, których zatrudniam, panno

Dalton. Jeśli uważasz, że prosząc o szczególną uprzejmość wobec człowieka wykonującego pokrewny zawód wymagam zbyt wiele, lepiej od razu rozejrz się za kimś innym!

— Tak chyba rzeczywiście będzie lepiej! — krzyknęła piskliwym ze wzburzenia głosem. — Proszę to zrobić, panie Frazier, i to jak najszybciej! — Wpadła do domu zatraskując za sobą drzwi.

Przed drzwiami jej pokoju czekała na nią Jessie, boszo, w koszuli nocnej i czepeczku naciągniętym na walki.

— Co się stało? — spytała przyglądając jej się uważnie. — Na miłość boską, co się stało? Ach, pani płacze — stwierdziła bynajmniej nie zdziwiona. — Wiedziałam, że to prędzej czy później nastąpi. — Pogłaskała ramię Trudi. — Chodź, serduszek, do mojego pokoju, bo jeszcze Rick mógłby się zbudzić i usłyszeć naszą rozmowę.

Trudi dała się zaprowadzić do pokoju Jessie, małego, czystego i staromodnego, zupełnie jak ona sama. Jessie nastawiła ekspres do kawy i usadowiła ją w fotelu.

— Serduszko, nie oburzaj się tak bardzo na Matta. Zawsze był uparty. Ma w sobie domieszkę krwi indiańskiej i to sprawia, że niekiedy trudno z nim wytrzymać. A także i to, że ojciec traktował go tak samo, jak on teraz traktuje Ricka — jak gdyby świat miał się zawalić, że się rozplakał albo zachował jak dziecko, którym przecież jest. Po prostu musi się pani nauczyć rozumieć go, a wtedy nie wyprowadzi pani z równowagi. Jest pani rozdygotana.

— Jaka? — spytała Trudi ocierając łzy.

— Rozdygotana. Wiedziałam, że kiedyś do tego dojdzie. Jesteście do siebie bardzo podobni. Dokładnie tak jak i oni byli podobni do siebie. — Zaraz jednak pośpiesznie dodała: — Naturalnie są też istotne różnice. Pani nie jest taka jak tamta.

Trudi wpatrzyła się w nią zdumiona.

— Co chce pani przez to powiedzieć?!

— Tylko to, że pani i Matt jesteście ulepieni z jednej gliny. Jest pani tak samo uparta jak i on. Ona też była taka. Nigdy się z nim nie zgadzała. Klóciła się dla zasady. To była jej metoda, aby zabić nudę.

— Mówi pani o Sandrze? — upewniła się Trudi, gdy Jessie napełniała filiżanki mocną czarną kawą. — Chce pani przez to powiedzieć, że zachowuję się jak Sandra, zmarła żona Matta?

— Z pewną różnicą — wtrąciła szybko Jessie, a jej niebieskie oczy spojrzały na nią uspokajająco. — Pani jest dobra. Tamta nie była taka. Ale ma pani temperament i silną wolę, dokładnie jak Matt. Dlatego byłam pewna, że musi dojść do spięcia. To była tylko kwestia czasu.

— Już doszło — załkała rozpaczliwie Trudi. — Wyrzucił mnie.

— Co zrobił?

— Wyrzucił. — Drżała na całym ciele, niezdolna wymówić słowa. — On... on... — wykrztusiła wreszcie. — Powinnam była chyba być bardziej wyrozumiała... zachować się dyplomatycznie. On... on zażądał, abym była... wyjątkowo uprzejma... dla lekarza, który przyjeżdża, aby leczyć Ricka. A ja... ja się rozłościłam, wzbraniałam się przed tym.

Wyraz twarzy Jessie zmienił się, jak gdyby nagle odkryła prawdę, do tej pory zakrytą jej oczom.

— Teraz pojmuję — rzekła z namysłem. — Właściwie tego też się spodziewałam. — Wychyliła się ze swego fotela i nakryła własną ręką dłonie Trudi. — Zakochała się w nim pani, prawda, serduszko? A on łamie pani serce, gdyż nie odwzajemnia tej miłości. Niech pani nie ma mu tego za złe — westchnęła. — Nie jestem pewna, czy on jeszcze w ogóle potrafi

kochać. Crystal Connor mogłaby pani coś o tym powiedzieć. Przecież chyba pani wie, że ma w mieście przyjaciółkę.

Trudi ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się jak dziecko...

RS

ROZDZIAŁ 5

Obudziła się następnego dnia z podpuchniętymi oczami i bólem głowy pulsującym w skroniach. Natychmiast opadły ją z powrotem ponure myśli. Matt jej wymówił i będzie musiała opuścić Brandywine. Była w takim nastroju, że nie miała ochoty wstać z łóżka, mimo to przemogła się i w chwilę potem brała już prysznic. Jeszcze miała wilgotne włosy, gdy do drzwi zapukał Harvey, przynosząc jej dzbanek parującej kawy i tabletkę. Jessy doskonale wiedziała, jak bardzo jest przygnębiona i chora ze zmartwienia.

Włożywszy zieloną sukienkę i wyszczotkowawszy włosy, wypła dwie filiżanki kawy i poczuła się zdecydowanie lepiej. Gdy wróci w swoje strony, znów będzie sobą. Tu była za bardzo pod władzą Matta. W tym krótkim czasie, gdy dla niego pracowała, tak się z nim związała uczuciowo, że wybuchwała płaczem, gdy z jakiegoś powodu się rozzłościł. Przede wszystkim jednak dręczyła ją zazdrość — zazdrość o kobietę imieniem Crystal, jego przyjaciółkę.

Mimo to źle się stało, że jej wymówił. Mniejsza z tym, że stosowna notatka na ten temat znajduje się w jej dokumentach. Oznaczało to, że musi opuścić Ricka.

Nie mogę tego zrobić! A nawet nie chcę! Nie chcę! Co stanie się z Rickiem, jeśli go teraz opuszczę — tuż przed operacją?! Nie wolno mi tego zrobić, bez względu na to, co myśli o tym Matt!

Podjąwszy nagłą decyzję, zbiegła pędem po schodach, zawołała tylko w przelocie do Jessy, że chce sama przygotować śniadanie dla Ricka i podać mu je na werandzie.

Matta znalazła w stajni. Siedział w zalanym słońcem maleńkim pomieszczeniu, które służyło mu za biuro, z plikiem papierów w dłoni. Podniósł na nią wzrok, gdy weszła. Miała wrażenie, że odkryła w jego oczach zgryzotę.

— O co chodzi? — spytał opryskliwie. — Przyszłaś odebrać zapłatę, tak?

— Nie — odpowiedziała z bijącym sercem. — Przyszłam... przyszłam cię przeprosić.

Zdażył już wziąć do ręki książeczkę czekową, lecz na te słowa znieruchomiał i wpatrzył się w nią ze zdumieniem.

— Przeprosić?!

— Tak — podjęła szybko. — Przykro mi, że wczoraj tak się uniosłam. — Przystąpiła do stołu. — Matt, proszę mi pozwolić zostać z Rickiem —

bardzo proszę! Jeśli teraz odejdę, na parę dni przed operacją, odbierze mu to odwagę.

— Odbierze odwagę? Niechętnie słucham czegoś takiego i nie życzę sobie, aby wiązano to z mym synem.

— Ale to przecież jeszcze dziecko. — Mimo woli podniosła głos: — Nie rozumiesz, że Rick może umrzeć podczas operacji? Lekarz z pewnością ci to powiedział. Doktor Fielding nigdy by nie...

— On nie umrze! — huknął Matt. — Posłuchaj, sam chciałem cię prosić, abyś jednak została, bo wiem, jak bardzo mój syn cię lubi. Ale jedną rzecz musimy wyjaśnić: Rick będzie żył i nie waż się nigdy podawać tego w wątpliwość, zrozumiałaś?! Będzie jeździł na tym białym ogierze i któregoś dnia przejmie ode mnie ranczo. Jeśli nie możesz w to uwierzyć, to lepiej niech będzie tak, jak powiedziałem wczoraj. Albo stajesz po mojej stronie, albo od razu pakujesz manatki.

Oddychała ciężko, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

— Chcę zostać — wybuchnęła wreszcie. — Chcę zostać, gdyż jestem święcie przekonana, że Rickowi zaszkodzi, gdy odejdę. I tak już dość stracił: najpierw matkę, a potem zdrowie. On mnie lubi, ufa mi, a ja... a ja mu przyrzekłam, że zostanę przy nim. Ale nie zmuszaj mnie do kłamstwa — krzyknęła zrozpaczona. — Nigdy mu nie mówiłam, że będzie kiedyś całkiem zdrowy, a i teraz mu tego nie powiem. Ten rodzaj samooszukiwania pozostawiam tobie.

Na moment zaległa cisza. Obydwoje, wzburzeni, wpatrywali się w siebie, wreszcie Matt włożył pióro i książeczkę czekową do szuflady.

— Doktor Fielding przyjedzie jutro popołudniowym pociągiem. Chciałbym, abyś wyjechała po niego na stację. — Spojrzał na nią lodowato. — A może za wiele wymagam?

— Zrobię to chętnie — powiedziała Trudi i już jej nie było.

Zatrzymała się dopiero w kuchni, aby zaczerpnąć powietrza. Nie wyrzucił mnie! Mogę zostać! Mimo kłótni, jaką dopiero co miała z Mattem, czuła się lekka jak piórko. Zostanie przy Ricku i... będzie w pobliżu Matta. Między innymi dlatego tak pragnęła zostać...

Był zimny, zamknięty w sobie, często nawet odpychający i okrutny w swej nieczułości, a mimo to kochała go. A kochać znaczyło chcieć być w pobliżu.

Przedpołudnie minęło szybko. Znów zaświeciło słońce i Rick nie mógł doczekać się chwili, kiedy odwiedzi Ducha. Trudi czuła lęk przed tym olbrzymim, miotającym dzikie spojrzenia ogierem. Wiedziała, że tylko Mattowi pozwalał się do siebie zbliżyć. Pchając wózek z Rickiem w

kierunku stajni, przypomniała sobie, że kiedyś miała ochotę sama dosiąść tego narowistego konia, aby wprawić w zdumienie Matta. Co za bzdury chodziły mi po głowie, myślała teraz.

Jeśli ma być dobrą pielęgniarką, musi uwolnić się od uczuć, jakie żywi do ojca swego małego pacjenta. To było jasne jak na dłoni. Musi się odkochać, i nie może jej się to nie udać! Zresztą zważywszy na sposób bycia Matta nie powinno to być takie trudne...

Kiedy przygotowywała Rickowi obiad, a potem siedziała z nim na werandzie, pilnując, aby wypił mleko i wziął lekarstwa, przyszły jej do głowy słowa Jessy: „Oboje jesteście ulepieni z tej samej gliny”. Tak, to prawda, oboje mieli temperament, byli uparci i niezbyt skłonni do ustępstw. Jakże w tej sytuacji miała się spodziewać, że ich podyktowana przez okoliczności znajomość rozwinie się kiedyś w prawdziwe uczucie, o jakim marzą spragnione miłości dziewczęta?

Położyła Ricka do łóżka, aby przespał się po obiedzie, i stwierdziwszy, że zbliża się pora przyjazdu pociągu z San Francisco, przebrała się, powodowana wewnętrznym impulsem, w przepisowy strój pielęgniarski. Ostatecznie miała się zetknąć ze sławnym lekarzem, a potem współpracować z nim jako pielęgniarka.

Wyprowadzając samochód z garażu zauważyła, że Matt uporczywie się jej przygląda. Stał przy ogrodzeniu, na tyle blisko, że spokojnie mógł rozpoznać mocno wykrochmalony czepek i biały fartuch. Miał doskonałą okazję, aby ją zatrzymać i zwymyślać, że nie stosuje się do jego zarządzeń, mimo to stłumiła w sobie ochotę, żeby przyśpieszyć, i przejechała wolno obok niego, postanowiwszy nie odezwać się, jeżeli zrobi jej awanturę. Ważniejszy był Rick. Matt miał tego świadomość i mimo różnicy zdań na temat sprawowanej nad dzieckiem opieki pozwolił jej zostać. Z bólem uzmysłowiła sobie, że natychmiast by ją odprawił, gdyby nie szło o jego syna.

Ze względu na chłopca nastąpiło między nimi coś w rodzaju tymczasowego zawieszenia broni. To mimo wszystko było lepsze niż ustawiczna walka z Mattem, jego wybuchy złości i lodowaty wzrok, z jakim dawał jej polecenia. Ta myśl sprawiła, że nawet się lekko uśmiechnęła, gdy w pełnym pielęgniarskim rynsztunku przejeżdżała na oczach Matta przez bramę Brandywine.

Jadąc pod górę wąską, tonącą w kurzu drogą powiedziała do samej siebie: „Zrobię wszystko, aby się jak najszybciej odkochać. Wtedy na pewno poczuję się lepiej”. Niestety szło o zasadniczego, gwałtownego z natury mężczyznę, który wszystko przeżywał intensywnie i nie krył swych

nastrojów. Niełatwo takiego wyrzucić raz na zawsze z serca, jeśli w dodatku jest się skazanym na codzienny kontakt, nieodmiennie budzący żywe emocje...

Pociąg przyjechał co do minuty, dokładnie tak, jak zapewniał ją Matt zaraz pierwszego dnia. W oczekiwaniu sławnego doktora Fieldinga stanęła w pełnym słońcu, usiłując go sobie przypomnieć. Bardzo dobrze pamiętała jego ojca, który był już wtedy leciwym mężczyzną. Po tym, jak obejrzała zza przepierzenia szklanego nowatorską operację rozdzielania bliźniąt syjamskich, jedna z koleżanek opowiedziała jej, że stary doktor przez całe życie pragnął mieć syna i w końcu urodziła mu go o wiele młodsza druga żona.

Młodego Fieldinga przypominała sobie jak przez mgłę. Był wyjątkowo przystojny, postawny jak ojciec, i tak samo pewny siebie, choć przecież dopiero od niedawna należał do personelu lekarskiego w prywatnej klinice swego ojca w San Francisco. Większość przyszłych pielęgniarek z miejsca straciła dla niego głowę. Pamiętała, że otoczyły go po tej nowatorskiej operacji i zadawały mu pytania, które właściwie powinny były zadać jego ojcu.

Po dłuższym namyśle odtworzyła sobie w pamięci jego wizerunek. Tak, miał inteligentne niebieskie oczy i jasne, niemal piaskowe włosy, był wysoki i tak przystojny, że niektóre ze starszych sióstr nie zaakceptowały go jako lekarza, uważając, że wywindował się tylko dzięki sławie genialnego ojca.

To wyjątkowy mężczyzna, myślała, gdy pociąg wyjechał zza zakrętu i ze zgrzytem szyn zatrzymał się na peronie. Utalentowany, zdolny oczarować wszystkich, pozostawiając ich z uczuciem dziwnej tęsknoty, jak po obejrzeniu filmu, na którym gwiazda filmowa całkiem przypadkowo ratuje komuś życie.

Z pociągu, korzystając z pomocy tragarza, wysiadła stara kobieta, ale zanim poszła do budynku stacyjnego, gdzie czekał na nią prawnuk, odwróciła się jeszcze i pomachała komuś, a jej twarz miała wyraz, jaki bez względu na wiek przybierają kobiety ujęte wdziękiem mężczyzny.

David Fielding był dokładnie taki, jakim go zapamiętała Trudi. Miał ze sobą walizkę i torbę lekarską, a gdy ją dostrzegł, podszedł bez wahania, uśmiechając się w charakterystyczny uspokajający sposób, zdradzający w nim lekarza.

Z początku ich rozmowa przybrała profesjonalny ton.

— Panna Dalton? Jestem David Fielding. Co słyhać u naszego małego pacjenta?

— W tej chwili wypoczywa — powiedziała Trudi prowadząc go do zaparkowanego przed stacją samochodu. — Jest cały czas pod opieką lekarza domowego. Przypuszczam, że pan z nim rozmawiał.

— Bardzo krótko — rzekł siadając obok. — Głównie rozmawiałem z ojcem chłopca. Jest wyjątkowo uparty. — Powiedział to tak, jakby zdążył już znienawidzić Matta Frazierę. — Najpierw zbadam pacjenta, a potem rozejrzę się za jakimś pokojem. Czy tu w ogóle jest jakiś hotel?

— To co pan widzi, nie bardzo przypomina miasto, prawda? — roześmiała się. — A już na pewno nie dla kogoś, kto przyjeżdża z San Francisco.

— Nie szkodzi. — Wyciągnął długie nogi i odrzucił głowę na oparcie. Trudi poczuła na sobie jego wzrok, który tym razem nie miał w sobie nic z profesjonalnego zainteresowania, i zaczerwieniła się.

Tak, był bez wątpienia szalenie przystojnym mężczyzną i najwyraźniej potrafił to wykorzystać. Miała uczucie, że czyta w jego myślach: małe miasteczko, ładna dziewczyna, chyba niezamężna...

— Jak to miło — uśmiechnął się — że pani tu jest.

— Naprawdę? — Powiedziała to z oczami utkwionymi w szosę, czując w sobie narastającą radość.

— Pewnie, że tak. A już się bałem, że w promieniu pięćdziesięciu mil nie znajdzie się nikt, z kim można będzie porozmawiać. Chciałbym zaprosić panią na kolację. Mogłaby mi pani opowiedzieć wtedy więcej o pacjencie. — Uśmiech na jej ładnej twarzy zdawał mu się obiecywać nawet więcej, niż się spodziewał. — Mówię poważnie. Kiedy ma pani wolny wieczór?

— Właściwie nigdy. Jadam kolację z Rickiem, a potem kładę go spać. Staram się nie zostawiać go samego. Nie ma matki, a ojciec... o tym jeszcze porozmawiamy.

— O Frazierze? — Jego głos przybrał dziwnie twardy ton. — Z Frazierem starłem się już parę razy. Potrzebuje mnie, gdyż wierzy, że mogę uratować jego syna, lecz gdyby nie to, chętnie by mnie kazał powiesić na suchej gałęzi.

— Chce pan przez to powiedzieć, że naprawdę może pomóc chłopcu? Może pan sprawić, że będzie chodził?

— Jeszcze go nie zbałem — odparł wymijająco. Najwyraźniej nie był skłonny przyrzekać na wyrost. — Oczywiście niczego nie da się stwierdzić z absolutną pewnością, ale historia jego choroby, którą poznałem z relacji ojca i lekarza domowego, wskazuje na to, że chłopcu może się po operacji znacznie polepszyć. — Spojrzał z wyraźną przyjemnością na Trudi. — Mieszka pani u nich?

— Tak. Myślałam, że i pan tu zamieszka. W pobliżu Ricka.

— Nie, dziękuję — potrząsnął stanowczo głową. — Przy okazji chce obejrzeć tutejszy szpital i porozmawiać z pracującymi w nim lekarzami. Poza tym przywiozłem ze sobą pracę. Piszę podręcznik dla potrzeb uniwersytetu. — Uśmiechnął się łobuzersko. — Zresztą bardzo w to wątpię, czy Frazier i ja wytrzymalibyśmy pod jednym dachem.

— Zdaje mi się, że ma pan rację — wybuchnęła serdecznym śmiechem.

Przez chwilę obydwójce milczeli. Właśnie gdy na horyzoncie pojawiło się Brandywine, David nakrył swoją silną opaloną ręką dłoń Trudi.

— Jest pani piękną dziewczyną. Nie mogę pozbyć się uczucia, że już panią kiedyś spotkałem. Wiem, że zabrzmi... — Zastanawiał się przez moment. — Tak, naturalnie, przed trzema laty, gdy z ojcem rozdzielaliśmy bliźnięta syjamskie. Pani była...

— ...jedną z tych gąsek, które zza szyby przyglądały się szeroko otwartymi oczami operacji — dokończyła ze śmiechem. — Nawet pisałam o tym pracę końcową.

— Zapamiętałem panią — powiedział uradowany — i musi być tego przyczyna. Może dlatego, że jest pani rudowłosa i wygląda na osobę z temperamentem? Mężczyźni lubią takie dziewczęta, wiedziała pani o tym?

Jej myśli powędrowały do Matta. Obydwójce szybko wpadali w złość. To było tak, jak gdyby na co dzień chodzili w maskach, skrywających prawdziwe uczucia, i te maski w pewnym momencie opadały, ukazując ich prawdziwe oblicza — tak jak tamtej nocy, kiedy pokłócili się na werandzie.

— Jesteśmy na miejscu. To Brandywine — rzekła, pozostawiając wypowiedzianą przez niego uwagę bez odpowiedzi.

Gdy wjeżdżali przez bramę, wybiegł im na spotkanie Matt. Nie uszło uwagi Trudi, że zapał, z jakim do nich podbiegł, natychmiast zniknął z jego twarzy, gdy zobaczył, jak Fielding na nią patrzy. Więcej, przysięgłaby, że w jego oczach błysnęła prawdziwa zazdrość...

ROZDZIAŁ 6

Od pierwszej chwili, gdy się spotkali, między Mattem a doktorem Fieldingiem wytworzyło się osobliwe napięcie. Bez oczywistego powodu obaj zdawali się czuć dla siebie autentyczną niechęć. Trudi nie mogła zapomnieć błysku zazdrości, jakiego dopatrzyła się w szarych oczach Matta, gdy zauważył, że Fielding jest nią wyraźnie zainteresowany.

Im dłużej obserwowała Davida, tym bardziej go podziwiała. Przy pierwszym spotkaniu z Rickiem był naprawdę czarujący. Rozmawiał z nim, jak rozmawia się z dzieckiem, nie tak, jak miał to w zwyczaju jego ojciec, wymagający od dziecka zachowania dorosłego mężczyzny.

— Twoje oczka są niekiedy zmęczone, prawda, Rick? — wypytywał troskliwie, a jego głos brzmiał tak rzeczowo, a zarazem przyjaźnie, że Rick nieoczekiwanie przyznał się do wszystkiego, rzucając niespokojne spojrzenia na ojca, jak gdyby się wstydził własnych dolegliwości.

Matt nieoczekiwanie poderwał się i opuścił pokój, zamykając starannie za sobą drzwi. David skończył badanie Ricka, okrył go kołdrą i też wyszedł, tylko Trudi pozostała jeszcze na chwilę w pokoju, ucałowała chłopca i przyrzekła, że zje z nim kolację. David czekał na nią na korytarzu, opierając się o ścianę i paląc papierosa.

— To niepodobne do Frazier, prawda? Dosłownie uciekł z pokoju. Sądziłem, że zależy mu na wyleczeniu syna, a tymczasem...

— I zależy — wtrąciła pośpiesznie Trudi. — To temat na osobną rozmowę.

— Wypiszę receptę dla chłopca, a potem chciałbym jeszcze porozmawiać z Frazierem. Ale jeśli zażyczy sobie rozmowy dopiero, gdy dziecko znajdzie się w szpitalu, mnie to będzie nawet na rękę.

Powiedział to lodowatym, niemal obrażonym tonem. Najwidoczniej nie przywykł do tego, że ludzie opuszczają pokój, gdy on przeprowadza badanie. Nachmurzony zszedł z Trudi na dół i wypisał tam receptę dla Ricka, po czym sięgnął po torbę lekarską i rzekł:

— Gdyby Frazier chciał ze mną rozmawiać, będę w hotelu.

— Przekażę mu. Ale to nie jest tak, jak pan myśli, proszę mi wierzyć.

Posłał jej rozniewane spojrzenie.

— Mam nadzieję, że nie. Odniosłem jednak wrażenie, że go nie interesuje, co dzieje się z chłopcem. Obym się mylił. Przyjadę tu taksówką i zabiorę panią na kolację. Będzie pani miała wtedy okazję opowiedzieć mi wszystko o neurozie swego pracodawcy. Odpowiada to pani?

— Przyjadę sama. Pan Frazier oddał mi do dyspozycji samochód. On nie jest taki...

— Może być koło ósmej wieczorem? Potem będę miał jeszcze trochę czasu na przeprowadzenie rozmowy telefonicznej ze szpitalem w San Francisco. Muszę się wywieść o stan kilku pacjentów.

— To mi odpowiada — zapewniła Trudi, po czym odprowadziła go na werandę, gdzie jeden z ludzi Matta czekał, aby odwieźć lekarza do miasta.

Kiedy szła po schodach do swego pokoju, zatrzymał ją głos wchodzącego Matta. Stał u stóp schodów i w napięciu lustrował ją nie wróżącym nic dobrego spojrzeniem.

— Chcę z tobą pomówić. — Odwrócił się i ruszył do swego gabinetu. Z bijącym sercem poszła za nim, modląc się w "duchu, aby nie zrobił jej awantury.

Było to duże pomieszczenie, gdzie odbywały się wszystkie rozmowy z kontrahentami i gdzie zawsze czuć było dym tytoniowy, a na ścianach wisiało mnóstwo zdjęć nagrodzonych koni z Brandywine. Matt odczekał, aż Trudi zajmie miejsce naprzeciwko, po czym sam usiadł, zimny i zamknięty w sobie.

— Co powiedział? Co będzie z moim synem?

— Gdybyś został, zanim skończy badanie, dowiedziałbyś się tego prosto z jego ust — odrzekła łagodnie.

Aż wychylił się do niej.

— Powiesz mi wreszcie, co powiedział o stanie mego syna?

— Naturalnie potwierdził diagnozę. To porażenie mięśniowe. Uważa, że kondycja fizyczna Ricka rokuje udaną operację. Ale nie wolno ci myśleć, że to wiążące przyrzeczenie.

— Nie będziesz mi nakazywała, co mam myśleć, a co nie — rzucił nie panując nad sobą. — Nie wystarczy, że mi udzielasz wskazówek, jak mam się zachowywać we własnym domu — wobec własnego syna?! Gdyby nie szło o Ricka... — Przetarł twarz swoją dużą dłońią. — Przepraszam. Chciałem powiedzieć, że gdyby nie szło o Ricka, to z miejsca bym cię zwolnił. Ale to nieprawda. Okazałaś się doskonałą pielęgniarką. Wiem, że mój syn jest w dobrych rękach.

Serce Trudi stopniało. To nie było podobne do Matta, żeby przyznawał się do popełnionego błędu.

— Myślę, że będzie lepiej, jeśli sam porozmawiasz z doktorem Fieldingiem — zaproponowała. — Zatrzymał się w hotelu.

— Widzisz, tu chodziło o co innego — potrząsnął głową. — Wcale nie jest tak, że nie chciałem słyszeć, co mówi o moim chłopcu. To się stało z

powodu Ricka. Mówił, jaki jest słaby, jak się źle czuje i nie może przełykać. — Spojrzał na nią udreńczonym wzrokiem. — Że często niedowidzi. Nie wiedziałem o tym, nigdy się nie przyznał.

— Chyba się bał, że będziesz na niego zły. — Trudi zmusiła się do powiedzenia tego, choć czuła się strasznie.

Matt odwrócił się gwałtownie, jak gdyby żałując, że na chwilę się zapomniał i odkrył przed nią stan swego ducha.

— Ach tak — rzucił beznamiętnie. — Zauważyłem, że wzięłaś sobie do serca, o co cię prosiłem. — Udając zajętego otworzył szafę z aktami i wyjął stamtąd stos papierów.

— Nie rozumiem, co masz na myśli.

Obrzucił ją wrogim spojrzeniem i wrócił do biurka, ciągle bardzo zajęty.

— Prosiłem cię, abyś była uprzejma dla lekarza — i jesteś. Trudi spłonęła rumieńcem, mimo to hardo odrzuciła głowę.

— Owszem. Umówiłam się z nim dziś wieczór.

— A co z Rickiem?

— Przyrzekłam mu, że zjemy razem kolację i potem jeszcze mu poczytam.

— Nie życzę sobie, aby ten facet odciągał cię od obowiązków względem mego syna. To wszystko. Możesz iść.

Czy to naprawdę wszystko? pytała samą siebie idąc na górę. A może, gdy wspomniał o jej „uprzejmości” wobec doktora Fieldinga, powodowała nim zazdrość? Tak, to nie mogło być nic innego!

Opuściła ranczo o wpół do ósmej. Na niebie lśniły zimnym blaskiem pierwsze gwiazdy, suchy porywisty wiatr niósł ze sobą przyjemny chłód. W mieście musiała okrążyć kilka razy hotel, zanim w pobliskiej uliczce, naprzeciw gmachu sądu, znalazła miejsce do parkowania. Tego dnia sklepy w Percy's Pass były otwarte do późnego wieczoru, dlatego ulice roiły się od kupujących.

Spod sądu ruszyła piechotą do hotelu. Była już prawie w połowie drogi, gdy zauważyła, że od dłuższej chwili idzie za nią jakaś kobieta. Trudi zatrzymała się przed jasno oświetloną wystawą sklepu z odzieżą damską, kobieta również stanęła, udając, że bardzo interesuje ją wystawa piekarni. Trudi trochę to rozzłościło, więc przeszła szybkim krokiem na drugą stronę ulicy. Kiedy dochodziła już do drzwi hotelu, nieznajoma nagle puściła się biegiem, dopadła Trudi i nieśmiało dotknęła jej ramienia.

Trudi drgnęła przestraszona i obejrzała się, ale gdy zobaczyła okrągłą, zaleknioną twarz, poczuła nagłą ulgę. Bez względu na to, kim była ta kobieta i czego chciała, z pewnością nie miała złych zamiarów.

— Pani jest... pani jest pielęgniarzką z Brandywine, prawda? — spytała cicho, wyraźnie strwożona.

Nieznajoma miała zniszczoną, a przecież jeszcze dość ładną twarz z pełnymi zmysłowymi ustami i łagodne ciemne oczy, a rozjaśnione włosy przypominały kolorem łan dojrzałej pszenicy. Była zgrabna i zadbana, a jej głos i spojrzenie budziły sympatię.

— Tak — potwierdziła. — Czy coś się stało?

— O nie — pośpieszyła z zapewnieniem obca kobieta. — Ja... ja czekałam na panią, aby... porozmawiać. Widziałam panią w samochodzie Matta i domyśliłam się, kim pani jest. Proszę powiedzieć: jest pani umówiona czy może mogłybyśmy dokąds iść i porozmawiać?

Nazwała go Matt. Trudi wiedziała już, z kim ma do czynienia.

— Pani Crystal Connor, nie mylę się, prawda? Znajoma pana Frazier.

— Tak. Zobaczyłam panią z okna mojej firmy. Mam tu salon piękności. Zajrzy pani? To nie potrwa długo...

— Właściwie jestem umówiona z doktorem Fieldingiem — powiedziała z wahaniem Trudi, a jej serce zaczęło bić jak szalone. Crystal nie była piękna, ale miała w sobie to „coś”.

— Chodzi o Matta — wyjaśniła Crystal patrząc na nią błagalnie. — I o jego syna.

— Sprawdzę, czy doktor Fielding już przyszedł — zaproponowała Trudi.

Weszły do hallu hotelu, a że Davida jeszcze nie było, usiadły w wysłużonych fotelach. Teraz Trudi miała okazję przyjrzeć się lepiej Crystal. Przyjaciółka Matta okazała się właścicielką pięknej zdrowej cery, lecz jej makijaż był zbyt ostry, a strój nieco krzykliwy.

— Matt odwiedził mnie przed paroma dniami. Prawdopodobnie słyszała już pani, że jesteśmy zaprzyjaźnieni...

— Nic mi nie wiadomo o życiu prywatnym pana Frazier — powiedziała chłodno Trudi, ściskając swe szczupłe dłonie, aby zapobiec ich drżeniu. — Zatrudnił mnie jako pielęgniarzkę do swego syna, a nie...

— Tak, tak, oczywiście — przytaknęła skwapliwie Crystal. — Przyjaźnię się z Mattem od czasu, gdy stracił żonę, to wszystko. A teraz potrzebuję pani pomocy. Dlatego szłam za panią.

Trudi nie wierzyła własnym uszom.

— Pomocy? Jakiego rodzaju?

— Jest pani pielęgniarzką, więc powinna pani zauważyć, że Matt jest kompletnie załamany. — Spojrzała badawczo na Trudi. — Nie zna go pani tak dobrze jak ja. Jeśli operacja się nie uda, to doprawdy nie wiem, co zrobi. Widzi pani, od czasu gdy chłopiec zachorował, Matt jak obłąkany pędzi od

jednego lekarza do drugiego. Kiedy Rick nie był jeszcze tak słaby jak teraz, Matt ciągnął go do wszystkich znanych lekarzy w kraju. Gdzieś dowiedział się o możliwości przeprowadzenia takiej operacji. — Dotknęła ręki Trudi. — Jak pani myśli, może ona pomóc? Bo jeżeli nie, to... to jestem przekonana, że Matt... Boję się, panno Dalton. Boję się tego, co może zrobić...

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Trudi.

— Wiem, jak gorąco pragnie, żeby chłopiec wyzdrowiał — szepnęła. — Jestem w Brandywine już od paru tygodni i nie mogłam tego nie zauważyć. W każdym razie wierzę — z medycznego punktu widzenia — że operacja się uda.

W ciemnych oczach odmalowała się nieopisana ulga.

— Pani jest zdania, że... że ten lekarz może uzdrowić Ricka? Wierzy pani, że po tej operacji Rick znów będzie taki jak przedtem?

Trudi dojrzała łzy w oczach tamtej i jej serce zadrgało współczuciem.

— Nie mogę tego powiedzieć z całkowitą pewnością, ale życzę sobie tego tak samo jak pani.

Obie kobiety spojrzały na siebie, pojmując nagle, że łączy je to samo: uczucie dla Matta Fraziera.

Crystal otworzyła dużą skórzaną torebkę i wyjęła z niej koronkową chusteczkę.

— Jestem wariatką — powiedziała ocierając łzy i uśmiechnęła się słabo. — Biegam za panią jak ktoś niespełna rozumu. Ale przecież nie mogłam przyjechać do Brandywine.

Matt wpadłby we wściekłość, gdyby się dowiedział, że ośmielam się rozmawiać o jego nadziejach i lękach. On się boi, musi pani wiedzieć, okropnie się boi.

— Tak, wiem — przełknęła ślinę Trudi. — Co pani miała na myśli mówiąc, że lęka się pani jego reakcji w razie niepowodzenia?

— Ach, prawdopodobnie się mylę. Matt ma więcej od: wagi niż wszyscy mężczyźni, których znam. Ale gdyby zabrakło jego syna... — Spojrzała na Trudi szeroko otwartymi oczami, w których widniał lęk. — Jeśli chłopiec umrze albo operacja się nie uda... Nie, wolę nawet o tym nie myśleć. On gotów dojść do wniosku, że nie ma po co żyć...

Trudi z przerażenia zabrakło tchu. W tym momencie zauważyła podchodzącego do nich doktora Fieldinga: wysokiego, doskonale ubranego i przede wszystkim pewnego siebie. Operacja musi się udać, pomyślała w przypływie nadziei, po prostu musi!

ROZDZIAŁ 7

David przyjeżdżał każdego dnia do Brandywine, aby zbadać Ricka. Matt dał mu w tym celu do dyspozycji własnego jeepa. Lekarz bardzo polubił chłopca, odnosił się do niego miło, żartował i pocieszał, a już kompletnie zawojował Jessy, która była nim oczarowana.

W tych dniach Matt sprawiał wrażenie wyjątkowo zajętego, pracując niestrudzenie ze swymi ludźmi na tyłach rancza, w części posiadłości niewidocznej z okien domu. Trudi czuła, jak bardzo boi się dnia, kiedy Rick zostanie przewieziony do szpitala w Anderson i poddany ryzykownej operacji, i przeżywa katusze na myśl o cierpieniach, jakich dozna jego syn nawet po udanym zabiegu, a mimo to zdawał się wierzyć, że dziecko wkrótce będzie biegać. Dlatego nie reagowała, nawet gdy podniósł na nią głos, i wykonywała posłusznie jego polecenia, nie pozwalając sobie na żadne komentarze.

Dwa dni przed wyjazdem Ricka do Anderson, gdzie miano przeprowadzić ostatnie badania i przygotować go do operacji, Matt zasiadł do stołu, czekając na syna i Trudi. Minęły całe tygodnie od momentu, kiedy ostatni raz jadł z nimi wspólnie obiad, ta nieoczekiwana zmiana ucieszyła więc ją niezmiernie, lecz nie odezwała się, pomogła tylko Rickowi przesiąść się z wózka inwalidzkiego na krzesło i sama zajęła miejsce obok niego..

— A więc jedziesz na wycieczkę — odezwał się nie patrząc na niego. — Wiesz co? Duch chyba coś czuje, bo wczoraj omal nie staranował zagrody. — Dopiero teraz uśmiechnął się do syna. — Gdy wrócisz, będziesz musiał sam się nim zająć. Trzeba go obłaskawić. W tej chwili nie da się go dosiąść.

— To najpodstępniejszy koń, jakiego kiedykolwiek widziałam! — niemal krzyknęła Trudi.

Matt wybuchnął gromkim śmiechem.

— I największy, jak sądzę — mrugnął porozumiewawczo do Ricka. — Do takiego ogiera jak Duch potrzeba mężczyzny, prawda, Rick? Pojedziesz na nim do Percy's Pass. To będzie pierwsze, co zrobisz, gdy wrócisz do domu.

Trudi nie odrywała wzroku od talerza, choć zupełnie straciła apetyt. W jej mniemaniu była to czysta nieuczciwość, że Matt rozmawia z synem tak, jak gdyby niezachwianie wierzył, iż chłopiec będzie chodził i jest to tylko kwestia czasu. To całe jego życie ma zależeć od tego, czy będzie znów chodził, obłaskawiał tego diabelskiego konia, a potem jeździł na nim? A jak operacja się nie uda?

— Czas do łóżka, Rick — rzekła odkładając widelec. — Musisz dobrze wypocząć, bo jutro czeka cię długa droga. — Uśmiechnęła się do chłopca i wstała, aby przysunąć mu wózek.

— Pojedziesz ze mną do Anderson, Trudi? Tatusiu, pozwolisz, żeby pojechała, prawda? — W jego głosie dźwięczał lęk.

— Oczywiście, że pozwolę. Obydwoje pojedziemy z tobą. Przy okazji chcę tam kupić kilka koni. W drodze powrotnej zatrzymamy się na parę dni w Moon Lake. Będziemy tam łowić ryby. Jestem przekonany, że panna Dalton tak samo świetnie łowi ryby, jak jeździ konno.

Zabrzmiało to tak, jakby uważał, że nie potrafię ani jednego, ani drugiego, pomyślała z gniewem, lecz zagryzła wargi i nic nie powiedziała.

O dziewiątej wieczór wyszła na werandę, gdzie ku swemu zdziwieniu zastała Matta. Właśnie położyła spać Ricka i przebrała się na spotkanie z Davidem Fieldingiem.

— Umówiłaś się w mieście z doktorem? Powiedział to w miarę przyjaźnie, mimo to zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego pyta ją o plany na dzisiejszy wieczór.

— Tak. Dziękuję przy okazji, że zostawiłeś odpowiednie zlecenie pracownikom stacji benzynowej. Będę musiała po drodze zatankować.

Skinął w milczeniu głową i sięgnął po papierosy. Nie uszło jej uwagi, że jego ręce drżały, gdy zapalał zapalną. Choć sprawiał wrażenie rozluźnionego, wewnątrz musiał być spięty i wprost umierał z niepokoju.

— Rozmawiałem dziś z Fieldingiem. Uważa, że szanse na udaną operację sięgają pięćdziesięciu procent. — Spojrzał na nią ponad płonąca zapalną. — Jego zdaniem Rick jest dość silny fizycznie.

— Mnie też powiedział, że mimo choroby Rick jest na tyle silny, aby z powodzeniem przetrwać operację i jest możliwość, że będzie znów chodził, choć to nie oznacza, że się całkiem wyleczy z choroby. Jestem pewna, że doktor Fielding ci to powiedział.

— Nie wierzę. Jeśli znów zacznie chodzić, to znaczy, że będzie zdrowy.

— To nie takie proste! Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Matt! Jestem pielęgniarką i znam pacjentów, którzy przyzwyczaili się do faktu, że są w taki czy inny sposób upośledzeni. Na własne oczy widziałam, jak na nowo układali sobie życie i z odwagą patrzyli w przyszłość, pod warunkiem, że pogodzili się z sytuacją, w jakiej się znaleźli.

— Wzruszające — skomentował sucho — ale nie ma nic wspólnego z moim synem. Przywiozłem jednego z najlepszych chirurgów, aby go zoperował, i nawet on potwierdził, że rokowania w sprawie Ricka są więcej niż dobre. Dziękuję ci — dorzucił gorzko — że mi tak dodajesz odwagi.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w kierunku stajni. Trudi była dotknięta do żywego, jednak po chwili, gdy nieco przyszła do siebie, pobiegła za nim, zapominając na moment o przyrzeczeniu, jakie sobie dała, że nie pozwoli mu się więcej ranić i będzie się trzymać od niego z daleka.

Już z oddali usłyszała warkot silnika. W obszernej stajni, gdzie umieszczony został Duch, a kiedyś stały piękne konie podarowane niewiernej Sandrze, Matt trzymał jeszcze jeden samochód, lecz używał go rzadko.

— Zaczekaj, Matt! — rzuciła się w jego kierunku. Zwrócił w jej stronę pochmurną, zaciętą twarz.

— Bak w tym drugim wozie jest pełny, możesz śmiało jechać na spotkanie ze swoim przyjacielem lekarzem.

— Możesz mnie wysłuchać bez gniewu? — wysapała oparłszy się o samochód.

— Wyraziłaś się jasno — oświadczył cierpko nie podnosząc na nią wzroku. — Nie wierzysz, że Rickowi polepszy się po operacji.

— Tego nie powiedziałam! — krzyknęła zrozpaczona głosem rwącym się ze zmęczenia po szybkim biegu. — Próbowałam ci jedynie wytłumaczyć, że to nie będzie koniec świata, jeśli na zawsze zostanie przykuty do wózka inwalidzkiego. Wielu pacjentów z porażeniem mięśniowym prowadzi pożyteczne, a nawet w pewnym sensie szczęśliwe życie. Sama operacja nie zawsze pomaga.

Dopiero teraz obrzucił ją zimnym, nieprzystępnym spojrzeniem.

— To wszystko?

— Tak — odrzekła cicho, walcząc gorączkowo z napływającymi do oczu łzami — to wszystko. Rick to dzielny, wspaniały chłopiec — i żyje. Spróbuj być wdzięczny losowi za to, co masz, zamiast gryźć się w duchu i o wszystkich myśleć z goryczą.

— Z goryczą?

— Tak, z goryczą! Tak myślisz o żonie, o synu...

— Zejdz mi z drogi! — warknął. — Nie możesz jechać w tym stanie — dodał już spokojniej. — Wezmę cię ze sobą, a ten geniusz od siedmiu boleści niech cię potem wsadzi do taksówki.

Jego kpiące słowa sprawiły, że nie wytrzymała i zalała się łzami. Gdy trzęsąc się ze złości na próżno szukała w torebce chusteczki, w milczeniu podał jej swoją.

— Tylko tak dalej, Matt. Wyśmiewasz się z doktora Fieldinga, więc dlaczego powierzasz mu życie swego syna?!

— Ponieważ wiem, że to najlepszy specjalista, jakiego mogłem ściągnąć do Ricka. — Otworzył drzwi samochodu, czekając, aż wsiądzie, posłuszna jego rozkazowi. — Ale mimo to uważam go za nadętego bubka. Dałbym wiele, aby się dowiedzieć, czy potrafi dosiąść konia.

— Niekoniecznie trzeba zaraz jeździć konno, aby udowodnić, że się jest mężczyzną. — Ścisnęła mocniej torebkę i wpatrzyła się w usiane gwiazdami niebo, gryząc wargi ze złości.

Drogę do Percy's Pass odbyli w milczeniu. Matt zatrzymał się przed hotelem.

— Mam po ciebie przyjechać? Jeśli idziesz z nim tylko na kolację, to mniej więcej za godzinę mógłbym cię stąd odebrać. — Jego głos nie był już przyjacielski, choć w jakiś sposób uprzejmy. Z przerażeniem stwierdziła, że drży w nim nuta tajonego smutku.

— Nie, dziękuję — odparła stanowczo, próbując przypudrować zaczerwieniony od płaczu nos. — Nie jestem dzieckiem i nie potrzebuję nikogo, kto raz po raz spogląda na zegarek, aby mnie odebrać o umówionej porze. Jestem pewna, że doktor Fielding zadba o to, abym bezpiecznie dotarła do domu.

Do domu. Zawisło to między nimi jak niespodziewane wyznanie. Zaczerwieniona po czubki włosów sięgnęła do klamki.

— Do Brandywine — poprawiła się niepewnie.

Matt posłał jej spojrzenie, w którym na moment pojawił się młodzieńczy błysk.

— Mam po drodze. Za tym rogiem umówiłem się na kawę.

Crystal Connor. Raptem zapragnęła poprosić Matta, aby zapomniał tego wieczoru o Crystal, tak jak ona była skłonna zapomnieć o spotkaniu z Davidem. Ale gdy przypomniała sobie zatroskane, łagodne oczy tamtej i jej obawy, coś niby lodowata dłoń ścisnęło jej serce. Źle się stało, że rozmawiała z Mattem o sytuacji, w jakiej może znaleźć się Rick, jeśli operacja się nie uda. Właściwie miała rację, że próbowała mu to uzmysłwić, ostatecznie było to jej obowiązkiem, ale...

— Dziękuję, że mnie podwiozłeś — szepnęła zgnębiona, unikając jego wzroku. Czują się pusta wewnątrz jak nigdy przedtem. Nawet myśl o Crystal Connor, którą Matt miał odwiedzić, zdawała się odległa i jakby obojętna. — Dobranoc.

Zatrzasnęła drzwi samochodu i nie oglądając się ruszyła do wejścia hotelu, odprowadzana wybuchem wściekłości Matta, który objawił się w ryku zapalanej silnika i dzikim pisku opon sunących po żwirze...

Fielding czekał na nią przy stoisku z magazynami ilustrowanymi i książkami, jak zwykle doskonale ubrany, pewny siebie i czarujący. Z ciepłym uśmiechem wziął ją pod rękę.

— Nie ma tu zbyt wielkiego wyboru lokali, gdzie moglibyśmy zjeść przyzwoitą kolację. Zostaje tylko ten hotel, chyba że pojedziemy do Anderson.

— Właściwie nie jestem głodna — powiedziała siadając naprzeciw niego przy małym okrągłym stoliku. — Raczej zmartwiona.

— Niech się pani niepotrzebnie nie zamartwia — pocieszał ją cichym, poważnym głosem. — Nie wolno pani jako pielęgniarce. Przecież zapewniałem panią, że stan chłopca się polepszy, gdy usuniemy mu grasicę.

— Jego ojciec sądzi, że w ten sposób osiągnie się o wiele więcej.

Twarz Davida spochmurniała.

— Proszę wyświadczyć mi przysługę i nie psuć tego gorąco upragnionego wieczoru rozmową o Frazierze. Doskonale wiem, jak się teraz czuje. Wydaje mu się, że jak chłopiec zostanie zdjęty ze stołu operacyjnego, od razu będzie mógł biegać. Powiedziałem mu, że jest głupcem, jeśli oczekuje więcej niż polepszenia stanu zdrowia dziecka. — Odłożył kartę, napotykać z troskany wzrok Trudi. Z jakiegoś powodu mi nie uwierzył. Uważa mnie za kogoś w rodzaju czarodzieja.

— I pan nim jest. Przypominam sobie, co pan i pański ojciec zrobiliście dla tych bliźniąt syjamskich. Wszyscy byli przekonani, że jedno z nich nie przeżyje, nawet pracujący tam stale chirurg. A one żyją i są zdrowe. I to wasza zasługa.

— Jednego nauczył mnie mój ojciec, i to jeszcze przed zakończeniem studiów: lekarz daje z siebie wszystko, a reszta jest w ręku Boga.

Trudi zalała falą sympatii do tego młodego, utalentowanego człowieka, tak wykształconego i zrównoważonego, a przecież mającego zaufanie do wyższej mocy. Mocy, która pomagała mu leczyć ludzi.

Po kolacji udali się na przechadzkę spokojną o tej porze główną ulicą. Trudi pomyślała o Crystal i w tym momencie los spletał jej figła, gdyż zobaczyła samochód Matta przed jednym z lokali. Widocznie byli w środku, pili kawę i rozmawiali. Spacerując tak pod rękę z Davidem, miała uczucie, jak gdyby zaczęła się jakaś gigantyczna partia szachów, tyle że figury zajmowały nie te miejsca co trzeba. Kiedy przechodzili obok kawiarni, zajrzała przez okno do środka i rzeczywiście dojrzała w głębi okrągłą, pocziwą twarz Crystal i jej upięte wysoko, jasne włosy. Matt właśnie podawał jej ogień.

Tam powinnam teraz siedzieć ja, rozmawiać z Mattem i próbować go przekonać, że trzeba aby miał zrozumienie dla syna i nie był wobec niego taki twardy. Zresztą nie tylko o tym chciałabym z nim pomówić. A może jednak figury nie zostały poprzestawiane, może to tylko złudzenie, że nieodpowiedni ludzie znaleźli się na nieodpowiednich miejscach....

Spojrzała ukradkiem na promieniejącego spokojem Davida. Był lekarzem: dobrym, zręcznym, utalentowanym, godnym zaufania. Obydwoje rozumieli się niemal bez słów, a przy tym istniało coś, co ich łączyło: miłość do medycyny. Mogli o tym mówić bez końca. David nie zaskakiwał jej zmiennymi humorami, przypominającymi pogodę w marcu, jak często zdarzało się Mattowi. David oznaczał bezpieczeństwo. Uścisnęła jego ramię.

— Zimno pani, Trudi? — spytał zaniepokojony. — Może w takim razie pójdziemy do mego pokoju? Pokazałbym pani pierwsze ujęcie podręcznika, który piszę.

— Nie, dziękuję — uśmiechnęła się. — Najwyżej proszę mi pożyczyć pulower, gdybym miała wracać jeepem.

— Nie ma o tym mowy. Pani szef przezornie zaopatrzył mnie w samochód, o wiele lepszy niż jeep. To wielki sedan. Odnoszę wrażenie, że facet ma tyle samochodów, co i koni.

Trudi oczywiście nie zdradziła się z tym, ale była pewna, że Matt wynajął samochód dla Davida, pasujący w jego mniemaniu do osobowości znanego chirurga. Nigdy nie widziała sedana w Brandywine. Był to drogi, luksusowy wóz i jeep. który Matt pierwotnie oddał do dyspozycji Davidowi, nie mógł się z nim równać.

Jechali do Brandywine zamyśleni, z rzadka zamieniając parę słów. Trudi czuła, że są sobie dziwnie bliscy, choć przecież znają się tak krótko, i to napełniało ją cichą radością. Gdy znaleźli się w Brandywine, David objechał dom i zaparkował z tyłu posiadłości, za stajniami, po czym zgasił światła.

— Proszę zostać ze mną jeszcze przez chwilę. Nie mam ochoty wracać do hotelu, choć powinienem jeszcze popracować. Ciagle myślę o chłopcu.

— Ma pan na myśli Ricka?

— Tak. Ten przypadek zajmuje mnie bardziej, niż sądziłem. — Spojrzał na nią z powagą. — Może to z powodu pani, Trudi. Ponieważ wiem, jakie to dla pani ważne. Zrobię wszystko co w mej mocy, aby mu pomóc, proszę mi zaufać.

— Jestem pewna — odparła łagodnie, dotykając jego dłoni. — Jeśli ktoś na tym świecie może pomóc Rickowi, to jest nim właśnie pan. Matt też to wie.

— Czy on coś dla pani znaczy? — spytał znienacka. — Nie mówię teraz o chłopcu, mówię o jego ojcu.

Owo niespodziewane pytanie zaskoczyło Trudi..

— To dziwny człowiek — odrzekła wymijająco. — Przypuszczam, że miał wiele kobiet, które się w nim kochały, ale prawdopodobnie żadna nie była mu szczególnie bliska. Sądzę, że od czasu swego nieudanego małżeństwa bardzo się zmienił. Nie umiem odpowiedzieć na pańskie pytanie, bo sama nie wiem.

— Czy to ma znaczyć, że pani nie żywi do niego żadnych uczuć?

— Cóż, nie można pozostać całkiem obojętnym wobec takiego człowieka — odrzekła zmieszana. — Jest porywczy i wrażliwy, wyzwala w człowieku uczucie, że jest się mu winnym absolutne oddanie.

David ujął pieszczotliwie jej twarz w swoje dłonie, tak że musiała mu spojrzeć w oczy.

— Naprawdę tylko tyle do niego czujesz, Trudi?

Nawet nie zauważyła, że zwrócił się do niej po imieniu.

— Tylko tyle — szepnęła, choć nie odpowiadało to prawdzie. Owo maleńkie kłamstewko jeszcze bardziej ją speszyło. — Och, David — westchnęła przytulając głowę do jego piersi. — Tak bym chciała, żeby Rick wyzdrowiał. Chyba pragnę tego równie gorąco jak Matt, ale w przeciwieństwie do niego nie umiem w to uwierzyć!

— Myślę, że będzie zdrowy — stwierdził spokojnie David. — Jedno musisz wiedzieć, Trudi. Zostałem tu z powodu chłopca, ponieważ uważam, że ze względu na niego powinienem być w pobliżu, gdy zostanie przewieziony do Anderson na operację. Ale istnieje jeszcze inna przyczyna, dla której to zrobiłem. Jesteś nią ty.

Podniosła na niego zaskoczone oczy, a on bez dodatkowych zapewnień skłonił swą jasną głowę i pocałował ją tkliwie. Przytuliła się do niego i w tym momencie jej lęki i strachy rozwiały się jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej. Było coś cudownego w uczuciu bezpieczeństwa, jakie od niego emanowało...

Dom w pobliżu stał ciemny i jakby opuszczony, niemy wyrzut sumienia. Delikatnie uwolniła się z objęć Davida.

— Muszę podać lekarstwo Rickowi — uśmiechnęła się z przymusem. — Polecenie lekarza.

— Najchętniej nie puściłbym cię już od siebie, wiesz? — szepnął miękko próbując ją znów pocałować, lecz ona wywinęła mu się zręcznie i wysiadła szybko z wozu.

— Rick i ja będziemy na ciebie czekać, David — uśmiechnęła się do niego przepaszająco. — Nie zapomnij przywieźć mu z miasta paru komiksów, jak przyrzekłeś.

— Zdążyłem się już w nie zaopatrzyć. Mężczyzna, u którego je kupuję, chyba się dziwi, że znany lekarz z San Francisco spędza wolny czas czytając takie rzeczy. Mogę cię odprowadzić do drzwi? — spytał dotykając jej ręki.

— Nie, dziękuję — potrząsnęła stanowczo głową. — Zobaczymy się jutro rano.

Pobiegła nie oglądając się do domu, lecz na werandzie przystanęła próbując zebrać myśli. Sedan właśnie wyjeżdżał na drogę i na pożegnanie zamrugał reflektorami.

Nie było wątpliwości, w towarzystwie Davida Fieldinga z dnia na dzień czuła się lepiej i pewniej. Było to coś więcej niż tamto ślepe uwielbienie uczennicy, jakie odczuwała dla niego jeszcze w czasie nauki. David był nie tylko dobrym, godnym zaufania lekarzem. On był uczciwym, godnym zaufania człowiekiem. Dobrym człowiekiem.

Jest na najlepszej drodze, aby się we mnie zakochać. Nie wydaje się taki, jak twierdzi Matt, nie należy do mężczyzn, którzy są skłonni uwieść dziewczynę tylko dlatego, że znaleźli się w obcym mieście i dręczy ich samotność. Gdyby nic dla niego nie znaczyła, dziś wieczorem nie mówiłyby w ten sposób...

Właśnie miała wejść do domu, gdy zauważyła, że w stajni zamigotało światło. Przerazona przyglądała się, jak w jasnym świetle księżycy Matt bnie przez mokrą trawę.

A więc cały czas był w biurze. Ta myśl dosłownie ją sparaliżowała. Jeśli siedział przy otwartym oknie, a tak z pewnością było, nie mógł nie słyszeć jej rozmowy z Davidem, nie mógł nie widzieć, jak się całowali...

Zrobiło się jej gorąco, gdy ze spuszczoną głową wszedł po stopniach na werandę.

— Dobrze się bawiłaś? — spytał mierząc ją ponurym spojrzeniem.

— Tak, dziękuję... — wyjąkała zdławionym głosem.

— Nie chcę ci psuć dobrego nastroju, ale chyba zapomniałaś, że jutro z samego rana odwozimy Ricka do szpitala. Nie musisz jechać z nami, możesz jechać z genialnym panem doktorem. Przekażesz mu przy okazji, że jeśli mój syn czegoś potrzebuje — dotyczy to także komiksów — zawsze posyłam kogoś do miasta, aby to załatwił. Wydaje mi się, że pan Fielding ma zwyczaj podstępnie sięgać po rzeczy, które do niego nie należą.

Pod lodowatym spojrzeniem jego szarych oczu uczuła coś na kształt triumfu, ale trwało to zaledwie moment, gdyż Matt przeszedł szybko obok niej i zatrzasnął drzwi za sobą.

Rzeczy, które do niego nie należą... Jakie rzeczy? A może chodziło raczej o osobę? Czyżby miał na myśli Ricka? A może ją?!

RS

ROZDZIAŁ 8

Dzień, w którym Rick miał zostać przewieziony do szpitala w Anderson, wstał słoneczny, lecz chłodny. Jessy przygotowała dla wszystkich obfite śniadanie: steki, jaja sadzone i przysmażone kartofle. Matt siedział przy stole jeszcze bardziej milcząco niż zwykle, nie zaszczyciwszy Trudi ani jednym spojrzeniem.

Kiedy chłopiec skończył jeść i Jessy zabrała go na górę, aby go przebrać, odważyła się przemówić do Matta.

— Wyświadczyć mi przysługę — zaczęła spokojnie — i pozwól mi włożyć przepisowy strój. Jedziemy do szpitala, a ja ostatecznie jestem pielęgniarką chłopca. — Była przygotowana na kłótnię, na to, że Matt zaraz eksploduje, ale nic takiego się nie stało, podniósł na nią tylko swe szare zimne oczy i obojętnie wzruszył ramionami.

— Jeśli uważasz, że tak trzeba... Zresztą zmieniłem zdanie. Pojedziesz ze mną i z Rickiem, bo tak chyba będzie dla niego lepiej.

— Jestem pewna, że doktor Fielding to potwierdzi — powiedziała, ciągle jeszcze zaskoczona jego nagłą zgodliwością. — To długa droga. W razie czego będę mogła Rickowi zmierzyć puls i podać mu lekarstwo. Nie wolno mu się zbyt zmęczyć. — Przerwała na chwilę, po czym rzekła z wahaniem: — Dziękuję, że pozwoliłeś mi włożyć uniform.

— W następnych tygodniach Rick zobaczy wielu ludzi w białych kitlach, a więc jeden mniej czy więcej nie powinien zrobić mu różnicy. — Dopił kawę i wstał. — Kiedy będzie po wszystkim, wkrótce zapomni o szpitalu i operacji. Jak już zacznie chodzić, chciałbym z nim pojechać pociągiem do Dallas. Rozpocznemy nowe życie. Będę teraz spędzał więcej czasu z synem. — Powiedział to jakby do samego siebie, a potem uśmiechnął się do Trudi: — Powiedziałem twojemu przyjacielowi, że wyjedziemy zaraz z rana. On przyjedzie do szpitala dopiero po południu. Jedno jest pewne. — Jego głos brzmiał teraz dziwnie łagodnie, a w oczach pojawił się nowy, osobliwy błysk. — Doktor Fielding jest dobrym lekarzem. Najlepszym. Zauważyłem to przy pierwszej naszej rozmowie. Mój syn będzie zdrowy, tak jak mówiłem. Fielding to potwierdził.

Trudi była oszołomiona, a przy tym tak wdzięczna losowi za nadspodziewanie dobry nastrój Matta, że wolała go już więcej o nic nie pytać. Dopiero gdy siedzieli w samochodzie — Matt za kierownicą, obok jeden z jego pracowników, a Trudi z Rickiem na tylnym siedzeniu — zaczęła się zastanawiać nad tym, co Matt powiedział przy śniadaniu. Ktoś zmienił jego nastawienie. A może to było coś. Co prawda ciągle był

przekonany, że operacja uzdrowi Ricka, ale może powtarzał to tylko dlatego, aby pokonać własny strach — tak jak mały chłopiec idzie nocą przez las i gwizdże, udając, że nie boi się ciemności. Miała wrażenie, że to ma coś wspólnego z rozmową telefoniczną, jaką przed wyjazdem odbył z Fieldingiem.

Kiedy zatrzymali się na obiad w restauracji, zbadła puls dziecka, lecz Rick wydawał się w porządku, a nawet sprawiał wrażenie mocniejszego niż zwykle. Trudi poczuła się tak, jakby coś z tej spokojnej pewności Matta spłynęło i na nią.

Ostatnie dwie i pół godziny grali z Rickiem na tylnym siedzeniu w różne gry i śpiewali piosenki, co sprawiało Mattowi wyraźną przyjemność, zabawiali się także liczeniem bydła określonej rasy albo jadących z naprzeciwka ciężarówek. Matt był dobrym kierowcą, jechał płynnie, bez zrywów, prowadząc samochód z taką pewnością, jaką wykazywał w obchodzeniu się z końmi.

Wielki nowy szpital znajdował się w samym centrum Anderson. Były to białe niewysokie budynki, rozmieszczone na planie krzyża. David Fielding załatwił wszystko telefonicznie i wkrótce po przybyciu Rick leżał już w izolatce na wysokim szpitalnym łóżku. Stał tu w kącie telewizor, więc Rick oglądał kreskówki, popijając schłodzony sok pomarańczowy. Trudi siedziała przy nim.

Ordynator zabronił ojcu przebywania w pokoju Ricka. Fakt, że Matt podporządkował się zarządzeniu, niemal ją zaszokował. Taki człowiek jak Matt nie zwykł podporządkowywać się jakimkolwiek zarządzeniom, nawet jeśli pochodziły od lekarzy pracujących w klinice. Co w takim razie zdarzyło się tamtego ranka, gdy David odbył z nim długą rozmowę telefoniczną? Co, na miłość boską, powiedział takiego Fielding, że Matt naraz stał się taki dobroduszny i przyjaźnie usposobiony?

Rick wreszcie się zdrzemnął, a Trudi podeszła do okna. Jej wzrok padł na porośniętą soczystą trawą, szmaragdowozielony, zadbane trawnik. Wszędzie było widać lekarzy i uwijające się pielęgniarki. Tutejszy szpital przypominał centrum medyczne, w którym się kształciła, postanowiła więc po namyśle zejść do dyżurki i porozmawiać z pielęgniarkami.

Towarzystwo wesołych, ładnych, młodych sióstr, które zaprosiły ją na kolację do szpitalnej stołówki, sprawiło jej prawdziwą przyjemność, lecz przede wszystkim była zadowolona, że Rick zniósł dobrze podróż i przynajmniej na razie nie narzekał na pobyt w szpitalu. Ale był jeszcze jeden powód, który nastrojał ją optymistycznie. Przyjemnie było widzieć Matta z owym nie znanym jej do tej pory błyskiem w oczach, jak gdyby był

całkiem pewny, że jego syn znów będzie zdrowy, tak pewny, że opuściła go niechęć do świata i wyzbył się gniewu, z jakim wszystkich nieodmiennie traktował.

Kiedy wracała po kolacji, w recepcji czekała na nią wiadomość od Matta. Chciał się z nią widzieć, więc co prędzej pożegnała się z pielęgniarkami i rozejrzała po hallu, gdzie miał na nią czekać. Trudi przysięgłaby, że jego twarz na jej widok złagodniała, a w oczach zapaliły się ciepłe błyski, w mgnieniu oka jednak ich miejsce zajęła zwykła oficjalność

— Powiedziano mi, że najpierw muszę porozmawiać z tobą, jeśli chcę powiedzieć synowi dobranoc.

— Rick już śpi — odparła drżącym głosem. — Kazał mi życzyć ci od siebie dobrej nocy — i żebyś się nie martwił.

Matt odwrócił się, jakby nie chcąc zdradzić swych uczuć, i wpatrzył się w przeszkloną ścianę, za którą w ciemności migotały światła miasta jak gwiazdy nad Brandywine.

— Nigdy nie potrafię ci się odwdziaczyć — zaczął — za to, że jesteś taka dobra dla niego. Gdyby ciebie zabrakło, byłoby mu ciężiej. Ja zresztą też spróbuję dodać mu odwagi, lecz wiem, że nie za często dopuszczają mnie do niego.

— To taki miły chłopiec. — Jej serce biło jak szalone. — Zajmowanie się nim sprawia mi dużo radości.

Podszedł do niej i stali teraz bardzo blisko siebie. Trudi miała wrażenie, że Matt jest o krok od zasypania dzielącej ich przepaści, choć jeszcze wzbrania się przed tym.

— Będzie mu ciebie brakowało, gdy zawiozę go do domu.

— Myślałam... myślałam, że wrócę z nim, z wami obydwoma — zająknęła się, a jej oczy podejrzenie zwilgotniały. — Chcesz mi w ten sposób powiedzieć, że jestem zwolniona?

Uśmiechnął się lekko, obserwując ją ze spokojem.

— Rick będzie zdrowy, gdy opuści klinikę. Trudi. Zawsze w to wierzyłem, a teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

— Matt — wyciągnęła do niego błagalnie ręce — nie powinieneś za bardzo na to liczyć.

— Doktor Fielding sam mnie o tym zapewnił.

— Powiedział, że jest całkiem pewny? — upewniała się przerażona. — Nie wolno mu było czegoś takiego mówić!

— Czemu nie? To najlepszy specjalista od tych spraw w całych Stanach.

Jeśli w ogóle w medycynie jest coś pewnego, pomyślała z goryczą. Teraz już wiedziała, dlaczego Matt nagle tak się zmienił. Stało się to za sprawą Davida, który mu naopowiadał niestworzonych rzeczy.

— Nie powiedziałem Rickowi, że nie wrócisz już z nami. — Powiedział to zaskakująco głębokim głosem. — Kiedy zauważy, że jest zdrowy i może chodzić, to go chyba tak uszczęśliwi, że łatwo przeboleje rozstanie z tobą.

Wpatrywała się w opaloną, znamionującą siłę i zdecydowanie twarz Matta. Co się z tobą dzieje? Skąd ten pośpiech? Chcesz mnie odprawić, jak gdyby...

Jak gdyby co? przywołała samą siebie do porządku. Nie miała najmniejszych podstaw sądzić, że Matt ją wreszcie pokochał, że gdyby tylko mógł, zamknąłby ją w ramionach.. Przecież może to zrobić w każdej chwili, nic nie stoi na przeszkodzie. Jemu na niej nie zależy, jest dla niego tylko pielęgniarką jego syna, niczym więcej. Pielęgniarką, która w jego mniemaniu nie będzie już potrzebna...

— Rozejrzę się za czymś innym — wyrzuciła z siebie po chwili milczenia. — Zrobię to zaraz po operacji. Jeżeli doktor Fielding jest taki pewny, że Rick wyzdrowieje, to rzeczywiście nie będę mu już potrzebna. — Dotknęła ramienia Matta i to w jakiś niewytłumaczalny sposób ją pocieszyło. — Tak się cieszę, że wyzdrowieje — dodała drżącym głosem tłumiac szloch.

— Trudi...

Świat zamarł w oczekiwaniu, w panującej ciszy słychać było tylko bicie ich serc. Teraz to nastąpi, teraz przytuli ją do siebie i... Ale już w następnej sekundzie cofnął się, nawet jej nie dotknąwszy.

— Człowiek nie powinien żądać za wiele — popatrzył na nią z dziwnym smutkiem. — Od kiedy mój syn zachorował, próbuję nie robić żadnych planów, myślę jedynie o jego wyzdrowieniu. — Jego głos, przez chwilę ciepły i miękki, stał się na powrót zimny i obojętny: — Przekaż doktorowi Fieldingowi, że jest prawdziwym szczęściarzem. Zasadniczym powodem, dla którego jest taki pewny, że będzie mógł pomóc memu chłopcu, jest chyba to, że równie gorąco życzy sobie jego wyzdrowienia jak ja, przynajmniej tak myślę.

Serce skoczyło jej do gardła. Nie było sensu tłumaczyć Mattowi, jak się czuje, miał w głowie tylko operację syna i jego prawdopodobne wyzdrowienie. Najwyraźniej uważał, że jej miejsce jest przy doktorze Fieldingu.

— Wracam teraz do Ricka — szepnęła unikając jego wzroku. — Powiem mu, że byłeś tutaj i życzyłeś mu dobrej nocy. — Podeszła szybko do

wahadłowych drzwi. — Jutro z samego rana będziesz mógł sobie odebrać w recepcji całodzienną przepustkę. Powiem, że się tam zgłosisz, gdyż będzie operowany twój syn.

Matt skinął głową i sięgnął po marynarkę, nie patrząc na Trudi.

— Tylko nie zapomnij mu powiedzieć, że tu byłem, aby życzyć mu dobrej nocy.

Szła długim korytarzem do pokoju chłopca bijąc się z myślami. Wydawało jej się bardzo mało prawdopodobne, że David nie ma żadnych wątpliwości, obiecując że operacja na pewno się uda. Gdyby tak było, Rick rzeczywiście za trzy, najwyżej cztery tygodnie byłby zdrowy i mógłby wrócić do Brandywine już bez wózka inwalidzkiego.

Posiedziała trochę przy jego łóżku, a o dziesiątej zmierzyła mu puls i uzupełniła kartę choroby. Właśnie zamierzała udać się do dyżurki, kiedy z windy wysiadł David.

— Cześć, kochanie. Co z Rickiem?

— Śpi. Miałam właśnie zostawić dla ciebie w dyżurce jego kartę.

— Przed chwilą wpadłem na Frazia. Mam wrażenie, że zamierzał czekać na mnie w samochodzie przez całą noc. Będzie tu jutro z samego rana, zanim przystąpimy do operacji.. Zapewniłem go, że jak na razie wszystko przebiega dobrze. — Wziął kartę chłopca z ręki Trudi. — Mówił, że Rick dzielnie się trzymał przez całą drogę.

— Tak, to prawda — potwierdziła. — Potem jak go zbadasz, chciałabym z tobą porozmawiać.

— Masz ochotę zajrzeć ze mną do baru? Nie jest najgorszy. — Pochylił ku niej głowę uśmiechając się. — Skończyłem pisać podręcznik, Trudi, dlatego przyszedłem tak późno. — Jego spokojne niebieskie oczy przypominały rozświetlony letni dzień. — Zakończę wszystko, co postanowiłem zrobić w tej podróży. Wszystko.

Spojrzała na niego bacznie, próbując dociec znaczenia tych słów, lecz on nie tracąc czasu poszedł do Ricka. Z początku miała zamiar poczekać na niego w dyżurce, lecz ostatecznie postanowiła zjechać do baru. Usiadła przy oknie i zapatrzyła się w ciemność. Kto wie, czy Matt nie siedzi jeszcze tu gdzieś w pobliżu w samochodzie?

Przestań wreszcie, upomniała siebie samą. To jasne, że nie potrafi myśleć o nikim innym, tylko o własnym synu. O tym, że wkrótce będzie znów mógł chodzić. W jego duszy nie ma miejsca na miłość...

Badanie, choćby tylko rutynowe, z pewnością zabierze trochę czasu, pomyślała wstając. Przyniosła sobie z bufetu filiżankę kawy, po czym znów

usiadła, starając się przepędzić z myśli Matta. Jutro dziecko może rozpocząć nowe życie, było więc się nad czym zastanawiać.

Wreszcie w drzwiach stanął David. Miał na sobie biały lekarski kitel, a gdy przechodził przez zadymioną salę, zmierzając do jej stolika, siedząca w pobliżu grupa młodych pielęgniarek umilkła jak na komendę i przyglądała mu się w nabożnym podziwieniu.

— Ma niezłe wyniki — rzekł siadając naprzeciwko. — Każę zaraz z rana przeprowadzić jeszcze kilka dodatkowych badań. Operację zaczniemy o dziewiątej trzydzieści. — Spojrzał na nią swymi budzącymi zaufanie błękitnymi oczami. — Naturalnie chciałbym, abyś przy tym była. Jutro z samego rana zgłoś się do panny Hendricks. To tutejsza siostra przełożona.

— Dobrze. — Potem opowiedziała mu o tym, co ją dręczyło od samego rana. — Matt zdaje się wierzyć święcie, że operacja się uda i Rick znów będzie zdrowy. Mówi, że jesteś tego absolutnie pewien. Ta rozmowa telefoniczna, którą rano przeprowadziliście...

— W tym wypadku operacja zdziała wiele, jestem o tym najzupełniej przekonany — przerwał jej spokojnie, lecz stanowczo. — Stawiam na to całą moją karierę.

— Ale...

— Przemawia za tym wywiad lekarski, czas choroby, zdjęcia rentgenowskie i wyniki badań. Miałem już do czynienia z dziećmi w jego wieku, które po takim zabiegu i odpowiedniej rehabilitacji odzyskiwały niemal pełną sprawność.

Operacja przyniesie zdecydowaną poprawę, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, chodzi tylko o to, żeby potem usunąć pozostałe objawy, utrudniające podjęcie normalnego życia: podwójne widzenie, obezwładniającą słabość i tak dalej. Kiedy Rick przez to przejdzie, będzie z pewnością całkiem innym chłopcem.

— Och, David, życzę sobie tego z całego serca — rzekła miękko zaglądając mu w oczy.

Zaproponował, żeby zjedli coś ciepłego, i podszedł z tacą do bufetu, a ona została na chwilę sama ze swymi niespokojnymi myślami.

Widocznie David ma podstawy, aby być absolutnie pewnym wyniku operacji. A Matt? Przecież właśnie na to czekał przez cały czas. Czy nie była to odpowiedź na nieszczęście, jakie go dotknęło, prawdziwe zrządzenie niebios? Z pewnością tak. Był tak wdzięczny za więcej niż prawdopodobne wyleczenie syna, że co prędzej chciał wymazać ją ze swego życia. Nie chce jej, inaczej by prosił, aby została nawet w tak zmienionej sytuacji.

Co prędzej otarła łzy, rozglądając się ukradkiem, czy nikt tego nie widział. W tym momencie napotkała uśmiech Davida, idącego do ich stolika z pełną tacą.

Dzięki Bogu jest jeszcze Fielding, przyszło jej nagle do głowy. On się nią zajmie, przecież tak chętnie przebywa w jej towarzystwie. David ma chyba wobec niej poważne zamiary, byłaby więc skończoną idiotką, gdyby nie odwzajemniła jego miłości...

RS

ROZDZIAŁ 9

Następnego rana Trudi tylko w przelocie widziała się z Mattem. Szła właśnie do umywalni, gdzie lekarze i siostry instrumentariuszki przygotowywały się do operacji, gdy zobaczyła go stojącego w otwartych drzwiach i rozmawiającego z Davidem. To dziwne, wyglądał na wręcz przerażonego, gdy ją ujrzał w bładozielonym kitlu operacyjnym. Ich oczy się spotkały na przeciąg sekundy, a ona dojrzała w nich strach, rozpaczliwą nadzieję i... Nie śmiała tego nazwać, przekonana, że się pomyliła.

Zastanawiała się, co dzieje się w sercach obu mężczyzn. Jeden jej pragnął, drugi nie, chociaż...

W umywalni przygotowywały się do operacji cztery inne pielęgniarki i dwie studentki medycyny, które w ramach wyjątku otrzymały zezwolenie na przyglądanie się operacji. Żadna z nich nie mówiła, zajęta procedurą mycia wstępnego, mycia głównego, i jeszcze jednego mycia. Potem pomagały sobie nawzajem w nałożeniu posypanych talkiem, sterylnych gumowych rękawiczek.

Gdy weszła na salę, Rick leżał już na stole operacyjnym, a David pochylał się nad nim. Było tam jeszcze trzech innych chirurgów i pięciu asystentów, gdyż wszyscy chcieli obserwować sławnego Davida Fieldinga przy pracy.

Policzono wysterylizowane instrumenty. David, już w masce, wymieniał ostatnie uwagi z anestezjologiem, a potem pochylił się i pewną ręką dokonał cięcia w kształcie krzyża tuż pod mostkiem.

Czas zatrzymał w miejscu. Dla Trudi istniał w tej chwili tylko David ze swym cudownym darem — i Rick, wątłe, bledziutkie dziecko leżące w uśpieniu na białym stole operacyjnym.

Sześćdziesiąt siedem minut później obie umywalnie wypełniły się podekscytowanymi głosami. To pielęgniarki omawiały operację.

— Nigdy nie wierzyłam w cuda — rzekła jedna z rozpromienioną twarzą — ale dziś byłam świadkiem takiego. Ten Fielding jest... po prostu genialny!

— Nawet powieka mu nie drgnęła, gdy puls chłopca zaczął gwałtownie słabnąć — wtrąciła z podziwem inna.

— Nikt mi nie powie, że tego można się po prostu wyuczyć. W tym jest coś więcej. Taka zręczność to prawdziwy talent, jak w przypadku piosenkarza czy poety.

Trudi uwolniła się z kitla operacyjnego i rzuciła go do wielkiego pojemnika przeznaczonego na bieliznę do prania, włożyła fartuch i czepek i

wyszła do hallu. Tam zobaczyła Davida, z maską jeszcze wiszącą na szyi, jak rozmawia z jednym z tutejszych lekarzy.

Podchodząc do windy, usłyszała swe imię. Odwróciła się i serce w niej zamarło. W jej kierunku biegł Matt. Jego oczy były ciemne jak zachmurzone niebo, a twarz mimo opalenizny szara jak popiół.

— Mój syn... Wszystko w porządku, prawda, Trudi? — W jego oczach czaił się lęk, patrzyły na nią badawczo, jak gdyby starając się wyczytać odpowiedź z jej twarzy.

— Tak, w porządku — uśmiechnęła się do niego uspokajająco. — Dobrze to zniósł.

Jego mięśnie twarzy rozluźniły się. Patrzył teraz poprzez nią, jak gdyby gdzieś z tyłu odkrył coś cudownego. — Wiedziałem, doktor powiedział mi prawdę. Chciałbym zobaczyć Ricka, muszę być pierwszą osobą, która mu powie, że znów będzie biegł.

— Nie tak prędko, Matt. — rzekła dotykając jego dłoni. — Rick jest teraz na intensywnej terapii. Nie wpuszczą cię tam. Prawdopodobnie będzie spał jeszcze z godzinę, a potem i tak będzie zbyt wyczerpany, aby przyjmować wizyty. A co do chodzenia, będzie się go musiał uczyć na nowo, ostatecznie przeszło dwa lata był przykuty do wózka inwalidzkiego. Nie możesz oczekiwać, że gdy wypiszą go ze szpitala, po prostu wyskoczy z łóżka i pobiegnie przed siebie.

Pokiwał tylko głową, a ona przyłapała się na myśli, że mógłby teraz, właśnie w tym momencie, poprosić ją, aby wróciła z nim i z Rickiem do Brandywine. Chłopiec jeszcze długo będzie jej potrzebował, a Matt — może też jej potrzebuje?

Jednak nie powiedział nic takiego, podziękował jej tylko za informacje, prosił, aby powiedziała Rickowi, że czeka na dole, i podszedł do Davida, który ciągle jeszcze rozmawiał w rogu hallu.

Wyjechała na trzecie piętro, na oddział intensywnej terapii, usiadła obok Ricka, zbadala jego puls i serce i zanotowała wyniki na karcie choroby. Obserwując, jak policzki dziecka nabierają kolorów, pomyślała o radości, jaką ujrzała w oczach Matta. David, David to sprawił. Na myśl o nim zalała ją fala ciepła. To cud. Zapewniał mnie, że uzdrowi Ricka, i zrobił to.

W tym momencie chłopiec po raz pierwszy otworzył oczy i uśmiechnął się do niej słabo. Pochyliła się natychmiast nad nim, dotykając pieszczotliwie jego policzka.

— Będę... będę mógł teraz... jeździć na Duchu, prawda, Trudi? Tak jak sobie życzy tato... Powiedz, że tak...

— Tak — zapewniła odgarniając mu włosy z czoła. — Będiesz mógł jeździć na Duchu, kochanie.

— Przyrzekasz?

— Przyrzekam. Uspokojony zamknął oczy.

— Będę taki szczęśliwy, gdy ty i ja, i tato wrócimy do Brandywine — wyszeptał jeszcze, po czym znów zapadł w sen.

Ostrożnie zdjęła dłoń z jego policzka i w zamyśleniu podeszła do okna. Jak ma powiedzieć Rickowi, że nie wróci z nim do Brandywine? Jak ma mu wytłumaczyć, że jego ojciec dokonał czegoś w rodzaju zamiany — wymienił ją na zdrowego syna. To brzmiało idiotycznie, przypominało bredzenie wariata, a przecież Matt mógł mieć powód, aby nie prosić jej o powrót z nimi na ranczo. Wiedział, że Davidowi zależy na niej, więc ją zwolnił z obowiązków. Dał jej do zrozumienia, aby zapomniała o nim i jego synu, ułatwił jej odejście, robiąc to w taki sposób, że mogła nie mieć wyrzutów sumienia...

W porze obiadu Ricka przewieziono z powrotem do separatki i pozwolono Mattowi go odwiedzić. Trudi zostawiła ich samych, gdyż umówiła się z Davidem w barze. Było tam kilku młodych lekarzy oraz spora grupa pielęgniarek, które obserwowały ich z zazdrością, domyślając się, że jest dziewczyną znanego chirurga.

Skończyła dyżur o czwartej po południu i miała przed sobą wolnych sześć godzin, dość czasu, aby wziąć prysznic i trochę wypocząć. Właśnie zamierzała wyjść, kiedy z głośnika padło jej nazwisko, więc podeszła do recepcji, gdzie miała odebrać telefon.

— Tu David. Spędzimy razem wieczór. Zbadalem jeszcze raz chłopca, wszystko jest w normie. Właśnie zasnął. Siedzi przy nim siostra, zatem nie ma powodów do obaw. — Jego głos stał się naraz głębszy, niemal uwodzicielski. — Chciałbym zaprosić cię do lokalu, gdzieś, gdzie nie przewijają się ludzie w białych kitlach, bombardujący mnie pytaniami, i gdzie nie czuć eterem. Do miejsca, gdzie będą na stołach świece i...

— Przyjmuję zaproszenie z radością — wyszeptala miękko. — Dzięki. David.

Odkładając słuchawkę zobaczyła Matta idącego przez hall: postawnego, silnego mężczyznę o szerokich barkach, zupełnie nie pasującego do tego miejsca i jego sterylnej atmosfery. Raptem zapragnęła pobiec za nim i poprosić go, aby wolno jej było wrócić do Brandywine, nie zrobiła jednak tego. Ostatecznie już tyle razy przysięgała sobie, że nie da sobie złamać serca! Zacisnąwszy wargi, ruszyła do bocznego wyjścia i przeszła przez parking, zarezerwowany wyłącznie dla lekarzy. W ten sposób miała szansę

nie natknąć się na Matta. Wiedziała, że zatrzymał się w luksusowym hotelu „Biały Mustang” i mieszka w apartamencie ze swym pracownikiem. Kourym. Przekazał im tę informację, aby w każdej chwili David lub ona mogli go znaleźć.

Tymczasem z Rickiem nic złego się nie działo, miała wolny czas i czekał na nią w centrum jeden z najprzystojniejszych lekarzy na świecie. Na szczęście zabrała ze sobą ładną sukienkę, w nadziei, że Matt ją zaprosi na uroczystą kolację, gdy będzie już po wszystkim. No cóż, wyglądało na to, że tego nie robi, ale zaprosił ją kto inny, sławny doktor Fielding. Niech i tak będzie.

Przyśpieszyła kroku, powtarzając sobie, jakie to zrzędzenie losu, że na swej drodze spotkała Davida...

Były świece, dokładnie tak, jak sobie tego życzył. Ponad ich miękkim, chybotliwym płomieniem patrzył na nią z podziwem swymi błękitnymi jak niebo oczyma.

— Podobasz mi się w stroju pielęgniarki — ujął z uśmiechem ponad stołem jej dłoń — ale w tej sukience wyglądasz olśniewająco.

— Cudownie jest siedzieć razem i trzymać za rękę kogoś tak sławnego. — Powiedziała te słowa całkiem po prostu, starając się, aby nie zabrzmiały jak płaskie pochlebstwo, którymi jak dzień długi karmiły go pielęgniarki. — Chyba wiesz, jaki wspaniały byłś dzisiaj operując Ricka. Jestem pewna, że nikt by tego nie umiał zrobić tak jak ty.

Jego palce zacisnęły się na jej dłoni.

— Przecież ci to przyrzekłem. Przyrzekłem, że będzie zdrowy. — Na moment spuścił wzrok, aby zaraz potem spojrzeć na nią swymi jasnymi oczyma. — Oczywiście każdy lekarz chce postawić pacjenta na nogi, ale przy Ricku było jeszcze coś więcej. Operacja musiała się udać. A wiesz dlaczego, Trudi?

— Nie... nie jestem pewna — szepnęła niemal bojaźliwie.

— Po prostu nie chciałem, abyś tam wracała. Nie trzeba być wyjątkowo spostrzegawczym, aby zauważyć, że oni wywierają na ciebie magiczny wpływ. Nie mam na razie jasności, jak jest naprawdę, ale...

— A co ma być? — spojrzała na niego zmieszana, czując, że się czerwieni.

— Nie wiem, czy to chłopiec cię tam trzyma — czy też może jego ojciec. A może obydwa. Co w tym wypadku jest silniejsze? — Wychylił się w jej stronę patrząc uporczywie w oczy. — Kochasz go, Trudi? A może nie powinienem był zadać tego pytania?

Łzy napłynęły jej do oczu, więc czym prędzej odwróciła głowę.

— Oszalałam na punkcie Brandywine. To wszystko, co mogę powiedzieć.

— Chciałem, żeby dziecko wyzdrowiało — powiedział ściskając jej dłoń — i to nie tylko dlatego, że moim obowiązkiem jest niesienie pomocy ludziom. W tym wypadku czułem, że gra toczy się o coś szczególnego. Matt Frazier otrzymał, czego chciał: zdrowego syna. Pewnie cię nie będzie potrzebował w przyszłości. Pomyślałaś o tym?

Ich spojrzenia się spotkały. Pod jego badawczym, spokojnym wzrokiem zmieszała się jeszcze bardziej i powoli wyzwoliła rękę z jego uścisku.

— Kiedy Rick opuści klinikę, będę bez pracy. Matt nie chce, żebym wracała z nimi na ranczo.

— To dobrze. — Uniósł kieliszek. — Za nas, Trudi. Wszystko wygląda lepiej, niż ktokolwiek z nas mógł sobie wymarzyć. Matt za parę dni otrzyma zdrowego syna, a ja dostanę coś, o czym nawet nie odważyłem się myśleć. — Jego twarz spoważniała. Odstawił kieliszek i spojrzał na nią błagalnie. — Powiedz, że to prawda, Trudi. Powiedz, że mam u ciebie szansę.

To był chyba sen. Taki wspaniały mężczyzna jak David pytał, czy ma u niej szansę! Niezdolna z wrażenia wymówić słowa, skinęła tylko głową w odpowiedzi i podniosła do ust kieliszek z winem.

— Za nas — wyszeptała w upojeniu. Jestem szczęśliwa, powtarzała w myśli, naprawdę szczęśliwa. Wspólne życie z człowiekiem takim jak David oznacza przecież tak wiele: luksus i lokale jak ten tutaj, blask świec, stare wino i doskonałe jedzenie, a przede wszystkim dumę żony z przystojnego, poważanego, idącego od sukcesu do sukcesu męża.

Sącząc wino wdychała z rozkoszą panującą wokół atmosferę, rozmarzona, olśniona szczęściem, jakie ją spotkało. Wtem przed oczyma jej duszy pojawił się obraz posępnej, gniewnej, zamyślanej twarzy o oczach barwy zimowego nieba i jej serce zatrzepotało rozpaczliwie. Och, Matt, dlaczego w twym życiu nie ma dla mnie miejsca, dlaczego?!

ROZDZIAŁ 10

Następne dwa dni nie przyniosły istotnych zmian. Wyglądało na to, że Rick czuje się całkiem nieźle, co niezmiernie ułatwiło pracę Trudi. Najczęściej siedziała po prostu przy jego łóżku, czytała mu albo próbowała znaleźć miejsce dla zabawek, którymi zasypywał chłopca ojciec.

Kiedy przyszła w środę do szpitala, Matt czekał na nią.

— Wracam do Brandywine — oznajmił krótko. Jego głos zdradzał napięcie, jak gdyby nie był pewny jej reakcji. — Oczywiście wrócę tu, muszę tylko załatwić parę spraw. Rick chciałby kilka rzeczy z domu, ale twierdzi, że jedynie ty będziesz wiedziała, gdzie ich szukać. Może byś więc teraz pojechała ze mną, przenocowała w Brandywine i wróciła z samego rana.'

— Jeśli.... jeśli doktor Fielding jest zdania, że mogę zostawić Ricka...

— Rozmawiałem z nim. Uważa, że u Ricka z dnia na dzień następuje poprawa. — Na jego twardo zarysowanych, a przecież zmysłowych ustach pojawił się na ułamek sekundy uśmiech. — To dobry lekarz. Doskonały, jeśli wolno mi się wypowiadać w tej materii.

— Wiem.

Myśl, że wróci na ranczo i — pominąwszy Jessy — będzie z Mattem sama, napełniała ją lękiem, lecz i dziwnie podniecała. Przypomniała sobie własne solenne przyrzeczenie, że nie pozwoli Mattowi się zranić, a przynajmniej nie da mu po temu okazji, i w pierwszej chwili miała ochotę odrzucić jego propozycję. Ale jeśli David zapewnił Matta, że może zostawić Ricka samego, to widocznie był pewny, że między nią a Mattem nic się nie zmieni.

— Moglibyśmy wyjechać zaraz po obiedzie? — Jego oczy patrzyły na nią beznamiętnie i trudno było przypuszczać, że za tym wyjazdem kryje się coś więcej. Może zresztą życzył sobie, aby jak najprędzej zabrała swoje rzeczy.

— Dobrze — powiedziała z nadzieją, że Matt nie zauważy nagłego smutku, jaki nią owładnął. — Nakarmię tylko Ricka i pożegnam się z nim. Muszę też zaczekać na Davida... doktora Fieldinga, gdyż chcę mu coś przekazać w związku z naszym małym pacjentem.

Oczy Matta sposepniały.

— Co to takiego? Co chcesz mu przekazać?

— Nic specjalnego, jedynie to, że ostatniej nocy Rick jakby ciężiej oddychał, to wszystko. Zresztą nie ma w tym nic wyjątkowego, coś takiego często zdarza się po operacji tego typu.

— Chciałbym wiedzieć, co powie o tym Fielding. Spotkamy się o pierwszej.

Kiedy David przyszedł, aby zbadać chłopca, miała już na sobie ciemny kostium i spakowaną torbę podróżną.

— Właśnie chciałam do ciebie dzwonić — szepnęła, aby nie obudzić dziecka. — Ubiegłej nocy miał pewne kłopoty z oddychaniem. Żadnej temperatury, ale przyspieszony puls. Zaznaczyłam to na karcie.

David sięgnął po nią i wnikliwie przestudiował.

— Jedź spokojnie do Brandywine — rzekł wreszcie. — To nic poważnego, typowa reakcja po operacji. Posiedzę przy nim. — Otworzył torbę lekarską i spojrzał znacząco na Trudi. — Prawdę powiedziawszy, to ja zaproponowałam, abyś pojechała do Brandywine i zabrała rzeczy. Mówiłaś przecież, że ci wypowiedział, w takim razie możesz od razu jechać ze mną do San Francisco.

— Ale... ale ja na razie... nie zamierzałam wyjechać do Kalifornii — wyjąkała zmieszana. — David, naprawdę nie wiem, czy... ty i ja... czy powinniśmy układać takie plany. To stało się tak nagle.. — dokończyła ściszym głosem.

Wzięła do ręki stetoskop i z powrotem zamknął torbę.

— Nie lubię zwlekać. Jeśli wiem, czego chcę, natychmiast po to sięgam. Mówiłaś, że zawsze podziwiałaś mego ojca. — Zamknął oczy, osłuchując śpiące dziecko, a potem wyprostował się i spojrzał na nią z uśmiechem. — Mój ojciec zawsze wiedział, czego chce, i sięgał po to bez wahania. Na przykład chciał mieć syna. Jego pierwsza żona nie urodziła mu dzieci, więc się rozwiódł i poślubił młodą piękną kobietę — moją matkę. Wiem, że dokonałaś wyboru, Trudi. Zdecydowałaś się na mnie, nie na Matta Frazierę. Dlatego uważam, że w tej chwili jest odpowiedni moment, abyś zabrała rzeczy z Brandywine i wyjechała ze mną. Chciałbym, abyś jak najprędzej poznała mamę. Jest ciągle jeszcze młoda i piękna. Polubisz ją. Ona jest — wygrana.

Tak, pomyślała Trudi, przyglądając się, jak David bada Rickę, chłodno, metodycznie, a tak zręcznie, że chłopiec się nie obudził. Chyba tak właśnie jest. Ta kobieta była młodsza, piękniejsza, zdrowsza i w dodatku płodna, w przeciwieństwie do pierwszej żony starego Fieldinga. Urodziła Davida, a więc przez samo to jest wygrana. Pytała samą siebie, czy David też posiada taką niezachwianą pewność siebie, tę bezwzględną siłę woli, która kazała Josephowi Fieldingowi porzucić starzejącą się żonę, z którą żył wiele lat, i zastąpić ją młodszą, aby urodziła mu syna. Czy David też miał w sobie coś takiego?

Spojrzał na nią z nieznacznie zmarszczonym czołem.

— Zostanę tu dzisiejszej nocy. Nic poważnego, lecz wolałbym mieć pewność. — Jak gdyby czując, co Trudi chce powiedzieć, dorzucił szybko: — Jedź na ranczo, jak było zaplanowane.

Stojąc przed szpitalem i czekając na Matta, uczuła nagle, że narasta w niej dziwny niepokój. Kiedy wreszcie podjechał swoim wozem, wręcz pragnęła, aby powiedział, że wyjazd jest nieaktualny. Jednak nic takiego nie nastąpiło, Matt nie wyglądał na zaniepokojonego. Otworzył dla niej drzwi samochodu, a gdy tylko wsiadła, włączył się w ruch uliczny.

— Rozmawiałem z Fieldingiem. Będzie tej nocy przy Ricku.

— Tak, wiem.

— Uważa, że nie ma powodu do obaw, możemy spokojnie jechać. — Sięgnął po fajkę. — Mam do niego zaufanie. Powiedział, że wyleczy chłopaka, i wiem, że tak będzie. Zresztą ma w tym swój interes — spojrzał spod oka na Trudi. — Chce wypisać go w takim stanie, żeby już nie potrzebował pielęgniarki.

Trudi nic nie odrzekła. Wpatrzona w sunące po niebie chmury myślała, że ostatni raz jedzie do Brandywine, i próbowała sobie wyobrazić, jak też będzie wyglądało jej życie u boku Davida Fieldinga.

Obudziła ją nagła cisza, gdy Matt zgasił silnik i najwyraźniej się jej przyglądał. Ranczo tonęło w ciemności, jedynie od drzwi kuchennych padało nieco światła

— Chyba zasnęłam — szepnęła speszona, widząc, że wpatruje się w nią uważnie. — Wydawało mi się przez chwilę, że jestem w szpitalu, przy Ricku.

— Nie chciałem cię budzić — powiedział Matt dziwnie miękkim głosem — ale skoro otworzyłaś oczy, to może wypilibyśmy po filiżance kawy.

Następną godzinę spędzili w kuchni, opowiadając Jessy o Ricku i operacji. Matt potem wyszedł, aby obejrzeć nowo zakupione konie.

— Wygląda na zadowolonego — zauważyła Jessy. — Tak bardzo tego pragnął. — Ale mimo to coś go dręczy, za dobrze go znam, aby tego nie widzieć. — Zajrzała w oczy Trudi. — Czy to ma coś wspólnego z panią i doktorem Fieldingiem?

Trudi uparcie patrzyła na swoje splecione dłonie.

— Wymówił mi, Jessy.

— Co zrobił?

— Wymówił. Wróciłam po rzeczy. Widzisz, Rick z dnia na dzień będzie silniejszy i w którymś momencie zacznie biegać, więc jego ojciec uważa, że niepotrzebna mu pielęgniarka.

— Wypada tylko się cieszyć. — Jessy wszakże nie wyglądała na uradowaną. — Ale ja myślałam, że znajdzie się inny powód, który panią tu zatrzyma. Prawdopodobnie doktor wziął sprawy w swoje ręce. Nie byłabym zdziwiona, gdyby pojechała z nim pani do San Francisco. Ani trochę zdziwiona.

Trudi nie odezwała się, lecz podeszła do uchylonych drzwi, przez które ciągnął przyjemny nocny chłód, i wyjrzała na zalany światłem księżyca dziedziniec. Matt stał przy otwartym ogrodzeniu i rozmawiał z Kourym, który już poprzedniego dnia wrócił z Anderson. Z zaskakującym w przypadku tak rosnącego mężczyzny wdziękiem Matt dosiadł osiodłanego konia i puścił się klusem, aby zaraz potem przejść jakby dla zabawy w galop. Srebrna grzywa konia rozwiewająca się na wietrze — widok piękny aż do bólu. Za ogrodzeniem zaczynała się dolina, gdzie Matt trzymał krowy i cielęta o białych pyskach, a także kilka buhajów. Bydła pilnowali kowboje, wystawiający co noc straż. To było Brandywine. To i pionowe, purpurowe skały. Jutro je opuści — na zawsze. Opuści człowieka, który z tego rozległego gospodarstwa zrobił to, czym jest teraz.

Życzyła Jessy dobrej nocy i poszła na górę. Jeszcze nie spała, kiedy Matt przeszedł obok jej pokoju. Dokładnie jak pierwszej nocy zatrzymał się przed drzwiami, zanim poszedł do siebie...

Nie wiedziała, która jest godzina, gdy stwierdziła, że nie zaśnie. Rozsądek nakazał jej wstać i usiąść na werandzie. Nie było sensu rozpaczać. Nie chcą cię tu więcej, więc trzeba wyjechać i koniec, powiedziała sobie. Narzuciła szlafrok, na nogi wsunęła sandały i zeszła na palcach po schodach. Była już na dole, kiedy dotarło do niej, że ktoś jest na dworze. Wstrzymała oddech, i wyjrzała przez drzwi. Matt siedział na balustradzie werandy, a gdy usłyszał skrzypnięcie, natychmiast odwrócił się w jej stronę.

— Jak tu pusto bez Ricka — rzekł nie patrząc na nią. — Całkiem inaczej. Strasznie.

— Wkrótce będzie w domu — uspokajała go Trudi. Z początku miała zamiar usiąść w bujaku na werandzie, lecz teraz najchętniej wróciłaby na górę.

— Nie będzie zachwycony, gdy mu powiem, że nie wrócisz z nim do Brandywine. Pewnie wiesz, dlaczego ci wypowiedziałem.

— N... nie, chyba nie... — wykrztusiła stropiona. Stał nad nią, rosły, o szerokich barkach, niemal przerażający w mroku i ciszy nocy.

— To z powodu Fieldinga. Wiem, że właśnie tego pragniesz, więc nie chcę cię z nami wiązać. Nie zamierzam stawiać ci żadnych warunków, bo czułaś się do czegoś zobowiązana. Już raz tak zrobiłem i nic z tego nie

wyszło. Nauczyłem się już dawno temu, że nie da się powstrzymać kobiety, jeśli czegoś naprawdę chce. Tak, można próbować przywiązać ją do siebie, ale jeśli zechce odejść, i tak odejdzie.

To była inna kobieta, myślała w rozpaczą Trudi. Twoja żona — dawno temu! Nie dałeś mi szansy, nie śmiałam się do ciebie zbliżyć, nawet bałam się ciebie. Nie dałeś się kochać!

Rzuciła się do schodów, starając się nie widzieć zaskoczony twarzą Matta. Potrzebowała teraz spaceru, Jessy kiedyś mówiła, że w dolinie nocą jest bardzo przyjemnie. Na ostatnim stopniu zaczęła o coś i upadła w wilgotną od rosy trawę. Próbowwała wstać, lecz uniemożliwił jej to kłujący ból i silna, a przy tym niesłychanie czuła ręka Matta.

— Nie ruszaj się. Najpierw sprawdzę, co się stało. To mi wygląda na...
— Ostrożnie pomógł jej usiąść. — Pochylała się nad nią opalona, zatroskana twarz mężczyzny, tak bliska, a zarazem tak daleka. — Chyba zwichnęłaś sobie rękę.

— Może tylko skręciłam — szepnęła ze łzami w oczach.

— To się okaże.

Wziął ją na ręce i wniósł do domu, a ona, mimo bólu, rozkoszowała się jego nagłą cudowną bliskością. Niósł ją jak zranionego żrebaka do wodopoju, a potem usadził w fotelu i ostrożnie nakrył swoją wielką dłonią jej rękę.

— Możesz ją podnieść?

— Nie wiem. — Zaraz potem, powodowana nagłym impulsem, patrząc w zaniepokojone oczy Matta, dotknęła pieszczotliwie pacami chorej ręki jego policzka, a potem warg.

W tym momencie opadły maski. Patrzyli sobie długo w oczy. Wreszcie Matt szybkim ruchem chwycił jej dłoń i przycisnął do ust, a potem z jękiem przytulił ją do siebie.

Wreszcie! myślała uszczęśliwiona, składając usta do długo oczekiwanego pocałunku. Wstrzymaj się, czasie! Pragnę zapamiętać tę chwilę, nie stracić z niej ani sekundy, nie zapomnieć tych cieni nocy, światła księżycy, jego bliskości. Chcę ją pogrzebać w sercu na całą wieczność. Wiem, że tak się stanie, to co ofiarowuje mi w tej chwili Matt, zatrzymam na zawsze w pamięci...

A potem odwrócił się od niej, znów daleki i nieprzystępny, jakby nigdy jej nie całował...

— Matt?

— Żle się stało — niemal krzyknął zdławionym głosem. — Nie chcę tego jeszcze raz przeżywać. Nie mogę się mierzyć z facetem takim jak Fielding. Przyjdzie czas, że będziesz tego

. żałowała, Trudi. Popatrzysz na mnie i spytasz, dlaczego do diabła nie skorzystałaś z wielkiej życiowej szansy, jaka ci się nadarzała. Będziesz chciała odejść — tak samo jak tamta.

— To wcale nie jest tak! Nie możesz tego pojąć?! Kocham Ricka i...

Nie dokończyła zdania. Mówienie o tym, co czuje, było bezcelowe. A przecież wystarczyłoby, że skinie palcem, a padłaby mu w ramiona nie oglądając się na nic! Niestety nie umiał pozbyć się lęku, a to oznaczało, że wszystko stracone...

Bez słowa odwróciła się i poszła do swego pokoju, czując, pulsujący w ramieniu ból. Tam rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w poduszce. Nie powinna była już tu przyjeżdżać, przecież Jessy mogła jej wysłać rzeczy pocztą.

Czuła jeszcze na wargach jego pożądliwy, gwałtowny pocałunek. Kurczowo zacisnęła w ramionach poduszkę, próbując zatrzeć w sobie to wspomnienie, zapomnieć o jego silnych, czułych dłoniach, cudownej bliskości, do której od tak dawna tęskniła.

Prześladowana narastającymi w niej obrazami usiadła wreszcie na łóżku. Matt jeszcze się chyba nie położył, nie słyszała go wchodzącego po schodach. Pewnie siedział jeszcze na werandzie albo w małym biurze na tyłach stajni.

W tym momencie zadzwonił telefon, a zaraz potem dobiegło ją skrzypnięcie otwieranych drzwi i trudny do pomylenia odgłos kroków Matta na kuchennej podłodze. Rozmowa nie trwała długo, rzuciwszy słuchawkę wbiegł pędem po schodach i zaczął dobijać się do niej.

— To ja, Matt. Otwórz, Trudi! — Jego głos miał w sobie coś takiego, że z przerażenia zamarła.

— Boże, jak ty wyglądasz! Co się stało?!

— Ubierz się szybko — rozkazał. — Musimy wracać. Koury właśnie próbuje załatwić samolot.

— Samolot?! Ale po co? — wpatrywała się w niego z lękiem.

I wtedy zobaczyła trwożę w jego oczach.

— Dzwonił Fielding. Mój syn... umiera.

To przypominało koszmar senny: szalona jazda na lotnisko, odbyta w milczeniu, mała srebrna maszyna, czekająca już na nich z zapalonym silnikiem, nocny lot z Percy's Pass do Anderson.

Matt siedział przy oknie, milczący, pogrążony w myślach, nieobecny. Trudi spytała go o przebieg rozmowy telefonicznej, ale powiedział jej tylko, że Fielding zażądał, aby natychmiast przybył do szpitala. Ani razu nie wymówił słowa „umiera”, a ona nie miała serca wypytywać go o stan Ricka. Dowie się wszystkiego, gdy znajdą się w szpitalu.

Zaparzyła kawy w małym kambuzie i bez słowa postawiła ją przed Mattem, który zresztą zdawał się nie dostrzegać jej obecności.

— Będzie lepiej, jak się czegoś napijesz — zaryzykowała widząc, że najwyraźniej nie dotarło to do niego. — Matt?

Odwrócił się od okna i spojrzał na nią, a z jego oczu wyczytać można było taką udramę, że spuściła wzrok.

— Jak to się mogło stać? — spytał zdławionym głosem. — Fielding przecież mi powiedział, że Rick czuje się dobrze. — Skąd to nagle pogorszenie? Przrzekł mi, że będzie zdrowy! — jęknął z rozpaczą. — A jeśli już nie żyje?!

— Nie wolno ci tak mówić — szepnęła zgnębiona siadając obok niego. — Nie możesz winić za to Davida, to przecież najlepszy specjalista od tych chorób, sam to powiedziałeś.

Potrząsnął głową wpatrując się w parującą filiżankę z kawą, jak gdyby nie był pewny, czy utrzyma ją w dłoniach.

— Nie powinienem był wyjeżdżać. Nie powinienem był zostawiać go samego. Ale Fielding powiedział, że spokojnie mogę jechać do Brandywine. — Upił łyk kawy i odstawił filiżankę na tacę. — Jeśli umarł samotnie, bez...

— Proszę, nie mów tak — wtrąciła pośpiesznie. — David nie powiedział, że... że już po wszystkim. Miej trochę nadziei!

— Nadziei! — Spojrzał na nią karcąco, jakby to, co mówiła, było zwykłą, niestosowną w takiej chwili paplaniną.

Na lotnisku w Anderson czekała na nich taksówka. Matt cisnął taksówkarzowi spory banknot nie żądając reszty, a potem opadł na siedzenie i przez całą drogę siedział wychylony do przodu, z zaciśniętymi pięściami, niemy jak czająca się do skoku pantera.

Wjechali na teren szpitala wjazdem zarezerwowanym dla karettek i pobiegli prosto do hallu. Miała tam dyżur tylko jedna siostra z nocnej zmiany.

— Co mogę dla państwa...

— Chodzi o pacjenta doktora Fieldinga — przerwała jej Trudi, gdy tymczasem Matt dopadł już windy i nerwowo naciskał guziki — syna pana Frazier. Zostaliśmy wezwani.

Siostra dyżurna sięgnęła po słuchawkę telefonu.

— Tu panna Evans z portierni. Chodzi o pacjenta doktora Fieldinga z oddziału dziecięcego. Jest tu pielęgniarka prywatna i... — Spojrzała w kierunku, w którym zniknął Matt, po czym podniosła wzrok na Trudi. — Ojciec? Tak, ojciec dziecka. — Na jej młodej twarzy pojawiło się zatroskanie. — Tak, powiem jej. — Trudi wstrzymała oddech. — Chłopiec jest na sali operacyjnej — rzekła odkładając słuchawkę. — Doktor Fielding pozwolił pani tam wejść. Mają już dla pani przygotowany wyjałowiony kitel i maskę.

— A więc jeszcze żyje — szepnęła do siebie. Miała straszną ochotę pobiec za Mattem i powiedzieć, dlaczego izolatka Ricka jest pusta. Jeszcze gotów pomyśleć, że...

Niestety nie było na to czasu, przecież. David czekał na nią w sali operacyjnej. Wyjechała windą na pierwsze piętro i szybkim krokiem ruszyła do bloku operacyjnego znajdującego się na drugim końcu skrzydła. W umywalni natknęła się na młodziutką siostrę.

— Jestem Trudi Dalton — przedstawiła się wkładając sterylną odzież. — Mam asystować doktorowi Fieldingowi. Oni tam jeszcze są, prawda? — Chciała się w ten sposób uzbroić przeciwko temu, co miała jej do powiedzenia młoda pielęgniarka.

— To trwa już bardzo długo. Doktor Fielding próbował wszystkiego. Zaczął od sztucznego oddychania ustausta, a teraz robi tracheotomię. Jeśli ktoś może uratować dziecko, to właśnie on.

Ale, pomyślała z rozpaczą Trudi zapamiętała trąc ręce, może nikt nie potrafi mu już pomóc, nawet David...

Nikt na sali operacyjnej nie zauważył Trudi, gdy wśliznęła się cicho i stanęła obok instrumentariuszki, której zadaniem było sprawdzać i liczyć podawane instrumenty. Wokół stołu operacyjnego stało tyle osób, że brakowało miejsca.

— Doktor Fielding właśnie skończył — poinformowała siostra operacyjna niewyraźnym, zmienionym przez maskę głosem. — To była walka na śmierć i życie.

Trudi stanęła tuż za Davidem. Kiedy się odwrócił, dając sobie zdjąć rękawiczki, ich oczy ponad maskami spotkały się. Sprawiał wrażenie, jakby cierpiał nie mniej niż Matt.

Odczekała, aż Rick zostanie przewieziony na oddział intensywnej terapii, po czym ruszyła za Davidem do umywalni. Zdjął maskę, zapalił papierosa i wyczerpany oparł się o szafkę na ubrania.

— Zaburzenia w oddychaniu nasiliły się — poinformował ją matowym głosem. — W nocy dostał tlen, niestety to nie pomogło. To było tak, jak

gdyby mi się wymykał, Trudi, a ja nie mogłem nic na to poradzić. — Potrząsnął zrezygnowany głową. — Żyje, choć nie wiem, jak długo. To wszystko. Nie będę więcej składał przyrzeczeń, że moje utalentowane, wrażliwe ręce chirurga działają cuda — dorzucił gorzko.

— David — próbowała pocieszyć go Trudi — robisz sobie wyrzuty z powodu czegoś, co nie leżało w twej mocy. Jako lekarz...

— Frazier uważa, że jestem winien, prawda? Zawahała się na moment, zanim zdobyła się na odpowiedź.

— Jest załamany. I boi się. — Dotknęła jego ramienia. — Co z Rickiem? Operacja...

— Przecież ci powiedziałem, że nie wiem, czy będzie żył. Nigdy już niczego nie przyrzeknę. Zaczął się dusić, więc musieliśmy tak drastycznie ingerować. — Zdjął czepek i potrząsnął głową, po czym wszedł do umywalni.

Trudi naraz poczuła się całkiem sama z dręczącym ją niepokojem. Z zamyślenia wyrwał ją brzęczyk. Otrząsnęła się i pośpieszyła na intensywną terapię.

Matt ciągle jeszcze siedział w hallu, ukrywający twarz w dłoniach. Musiał widocznie wyczuć jej obecność, gdyż nagle podniósł wzrok, poderwał się i podbiegł do niej.

— Oni... oni powiedzieli, że musi być jeszcze raz operowany. Nie chcą mnie do niego wpuścić!

— Ostatnim razem też cię nie wpuścili — odparła spokojnie. — Nikomu nie wolno wchodzić na oddział intensywnej terapii, jedynie personelowi. Będę przy nim, Matt, i natychmiast dam ci znać, gdyby nastąpiła jakaś zmiana.

Odetchnął głęboko, jak gdyby próbując zrzucić z serca przytłaczający je ciężar.

— Dziękuję. Muszę chyba przestać się nad tym zastanawiać. Nad realnym niebezpieczeństwem, że może umrzeć. Jeden z asystentów powiedział mi, że jego zdaniem oddech Ricka jest normalny. Nie miałem jeszcze okazji porozmawiać z Fieldingiem.

— Ricky żyje — oświadczyła z naciskiem Trudi — i musimy być za to wdzięczni. Obydwoje wiemy, ty i ja, że zrobiono dla niego wszystko co w ludzkiej mocy.

— Ale nie będzie mógł chodzić, prawda? — Jego szare oczy były smutne i zrezygnowane. — Mój syn nigdy nie będzie jak inne dzieci, jeśli w ogóle zostanie przy życiu, czy tak?

Zmusiła się do wypowiedzenia tego.

— Nie będzie, Matt. Oczywiście nie możemy być do końca pewni, ale z tego, co wiem o porażeniu mięśniowym, pozostanie przykuty do wózka inwalidzkiego — jak do tej pory.

— W takim razie wszystko na nic... — wyszeptał pobladłymi wargami. — Całe te wywody Fieldinga, cała nadzieja, jaką miał mój syn — na nic! Rick wierzył, że będzie zdrowy, że dosiadzie i ujeździ tego białego ogiera. Wierzył, że kiedyś będzie zarządzał Brandywine. Miał tyle planów...

— To nie były plany Ricka — potrząsnęła smutnie głową — lecz twoje. To nie twój syn się obawiał, że spędzi życie jako niepełnosprawny, to ty się tego bałeś, Matt. Jesteś tym, który sądził, że dla niego nie ma życia, jeśli nie będzie mógł chodzić i jeździć konno. Nigdy nie zadałeś sobie trudu, aby się dowiedzieć, co myśli o tym sam Rick. Nigdy nie próbowałeś znaleźć w Brandywine miejsca dla kaleki. Byłeś zajęty układaniem planów na przyszłość, bo twój syn nie mógł zostać kaleką. — Wzięła głęboki oddech, zdecydowana mówić dalej: — Nie jestem pewna, czy nawet w swym sercu miałaś dla niego miejsce. Mam uczucie, że twe rozgoryczenie z powodu Sandry wypędziło go z twego serca — tak samo jak mnie.

Wyrzuciwszy to z siebie, odwróciła się gwałtownie i pobiegła na oddział intensywnej terapii.

Nad łóżkiem chłopca pochylało się dwóch młodych lekarzy i pielęgniarka.

— Po prostu nie mieści mi się w głowie — rzekł jeden z nich — jak chirurg tej miary mógł zrobić taki błąd.

— To nie był błąd — zaproponowała pielęgniarka. — Wszyscy przecież wiemy, że pacjentom z miastenią rzadko pomaga operacja. Fielding był pewny swego, był przekonany, że operacja pomoże. — Potrząsnęła bezradnie głową. — Pod tym względem rzeczywiście się pomylił, ale nic więcej.

Tak, pomyślała Trudi, patrząc ze ściśniętym sercem na małą nieruchomą postać z opatrunkiem wokół szyi, David nie miał racji. Teraz nie chodzi już o to, czy Rick będzie biegał i jeździł konno, lecz czy w ogóle będzie żył...

Świtało, kiedy zeszła do baru napić się kawy. Drżąc z wyczerpania usiadła przy stoliku pod oknem i z trudem zmusiła się do rozmowy, gdy w chwilę potem przysiadł się do niej David.

— Zwalniam cię na dwanaście godzin. Przy Ricku będzie siedział kto inny. Pójdiesz teraz porządnie się wyspać, inaczej nie będzie z ciebie pożytku.

— Jeśli... jeśli jesteś pewny, że Rick...

— Mówiłem ci — zachnął się — że teraz już niczego nie jestem pewien. — Zamilkł na moment. — Przykro mi, nie chciałem na ciebie krzyżeć. Chłopiec na razie odpoczywa po operacji. Jeśli nie pojawią się kłopoty z oddychaniem i nie wyskoczy nic nieoczekiwanego, na przykład nie wywiąże się zapalenie płuc, wszystko będzie dobrze. To znaczy, w jego stanie nic się nie zmieni. — Patrzył jej prosto w oczy. — Podwójne widzenie już pewnie nie wróci, ale nie będzie chodził, Trudi. — Powiedział to zniżonym głosem, jakby się wstydził. — Nie będzie.

— Nie mogłeś więcej, David. Powinniśmy być szczęśliwi, że żyje. Gdybyś nie zrobił tracheotomii...

Podniósł rękę, jakby zamierzając się bronić przed jej pocieszeniami.

— Prawdą jest — rzucił gorzko — prawdą jest, że próbowałem wykreować się na Boga. Pragnąłem cię, tak, właśnie pragnąłem, lecz wiedziałem jednocześnie, jak jesteś związana uczuciowo z Frazierem i jego synem. Czułem, że nigdy nie będziesz moja, jeśli chłopiec nie wyzdrowieje i będzie wymagał stałej opieki. Doprowadzić go do stanu, żeby mógł chodzić i jeździć konno, jak życzył sobie jego ojciec, wydawało mi się jedyną szansą na wyciągnięcie cię z Brandywine, chyba żeby Frazier zaproponował ci małżeństwo. Ale wiedziałem, że tego nie zrobił, więc postawiłem na tę operację. — Położył bezradnie ręce na stole. — Coś się we mnie załamało, Trudi. Może dlatego, że wszyscy mieli mnie za geniusza, a może z twego powodu chciałem postawić na swoim, jak to zwykł czynić mój ojciec. Czułem się Bogiem, ponieważ wierzyłem, że moja wiedza i zręczność wystarczą, by pokonać każdą przeszkodę. To był błąd — potrząsnął z rezygnacją głową. — Teraz już wiem z absolutną pewnością, że nie ode mnie zależy, czy operacja się uda i pacjent przeżyje, a w jego samopoczuciu nastąpi istotna poprawa. Zapomniałem o tym, przyrzekając Frazierowi, że jego syn będzie chodził. Naprawdę wierzyłem, że potrafię tego dokonać! — Podniósł na nią swe jasne smutne oczy. To była dla mnie lekcja, Trudi. Może to doświadczenie zrobi ze mnie lepszego lekarza, w każdym razie mam taką nadzieję. Jeśli użyłem tu sformułowania „lepszy lekarz”, to nie miałem na myśli umiejętności zawodowych. Miałem na myśli lekarza, w którym jest wiele pokory, dla którego pacjenci nie są jedynie figurami szachowymi, dającymi się dowolnie przesuwac, a wszystko w nadziei zwycięstwa. Mój ojciec był taki — wyznał cicho. — Był wielkim lekarzem, lecz nie był wielkim człowiekiem.

Milczeli przez dłuższą chwilę, wreszcie Trudi nakryła rękę Davida własną dłonią.

— Muszę... muszę ci coś powiedzieć, David. Nie mogę wyjechać z tobą. Wczoraj w nocy coś się wydarzyło w Brandywine... — Uczuła, że się czerwieni na wspomnienie ramion Matta, jego twardych, żądających warg. — Nie byłoby w porządku, gdybym ci nie powiedziała, gdybym teraz pojechała z tobą do San Francisco. Matt i ja...

— On ciebie kocha — przerwał jej spokojnie David. — Wiem o tym, wiedziałem przez cały czas. — Nie spuszczał z niej oczu. — A ty kochasz jego. Miałaś przed sobą dwie przeszkody: chorobę chłopca i mnie. Ja się usunę. Sądzę, że nie podobałby ci się styl życia, jak mogę ci zaoferować. W moim odczuciu w jakiś dziwny sposób należysz do Brandywine. Nie widzę cię w luksusowym apartamencie, z cocktailem w ręce, wiodącej banalne rozmowy z żonami bogatych pacjentów. Ja... ja zazdroszczę Mattowi Frazierowi.

— Nie zrozumiałeś mnie — przerwała mu pośpiesznie Trudi. — Matt i ja... Nie było mowy o tym, że chce się ze mną ożenić, nawet nie jestem pewna, czy wrócę do Brandywine jako pielęgniarka.

— Nawet jeżeli tak jest, nie chcesz jechać ze mną do San Francisco, prawda?

— Ja też się pomyliłam, David — szepnęła w zamyśleniu. — Może wzięło się to stąd, że byłam ci gotowa prawić komplementy jak inni, wydawało mi się, tak jak im, że nie możesz popełnić błędu. Ale i tak jesteś wspańska. Teraz nawet bardziej niż przedtem.

Spojrzał na nią dziwnie zagubiony.

— Dziękuję. Co prawda to nie to samo co usłyszeć „kocham cię”, ale dziękuję. Zostanę tu do czasu, aż Rickowi przestanie grozić niebezpieczeństwo, a potem wrócę do Kalifornii i zajmę się pacjentami.

Patrzyła za nim, jak opuszczał bar — a zarazem i jej życie. Teraz pozostali jej tylko Rick i Matt. Muszę porozmawiać z Mattem, pomyślała, muszę go poprosić, aby wziął mnie do Brandywine jako opiekunkę Ricka...

ROZDZIAŁ 11

Do następnego rana nie miała okazji porozmawiać z Mattem. Spała pięć godzin, trwożliwym, pełnym koszmarów snem, a potem, ubrana w świeży kitel, wróciła do szpitala.

Przed drzwiami separatki Ricka natknęła się na Matta. Był nie ogolony i przybity. Zgasił papierosa w popielniczce i zamknął drzwi, aby chłopiec go nie słyszał.

— Nie śpi, Trudi, i chyba... chyba jest w porządku. Słaby, lecz w porządku. Rozmawiałaś z Fieldingiem?

— Tak. Regresja u Ricka kompletnie go załamała. Prawdopodobnie przypisuje sobie za to winę. Nie za to, co się stało — pośpieszyła z wyjaśnieniem. — Temu nikt nie mógł zapobiec. Ma sobie za złe, że obudził w tobie zbyt wielką nadzieję.

Matt patrzył gdzieś obok, jakby jej nie widząc, zamknięty we własnym świetle cierpienia.

— Nie wiem — szepnęła z rozpaczą — czy nie byłoby dla niego lepiej, gdyby umarł.

Oczy Trudi rozszerzyły się z przerażenia.

— Matt! Jakże możesz mówić coś tak strasznego! — Przystąpiła do niego i zajrzała mu gniewnie w oczy. — Nie masz prawa tak mówić! Żadnego! Powinieneś być wdzięczny, że Rick żyje, że z dnia na dzień poczuje się lepiej i będziesz go mógł zabrać do Brandywine.

Zmroził ją swym spojrzeniem.

— Nigdy nie będzie chodził, Trudi. Przez resztę życia będzie przykuty do tego nędznego wózka inwalidzkiego. Wiesz, co to oznacza dla dziecka? Możesz to sobie wyobrazić?

— Tak — powiedziała spokojnie. — Wiem, co to znaczy, ostatecznie jestem pielęgniarką. Już wcześniej miałam do czynienia z kalekami dziećmi, i to często. Wiele z nich było w gorszym stanie niż Rick. — Patrzyła twardo w jego ponure szare oczy. — Ale nigdy nie miałam do czynienia z dzieckiem, które straciło wiarę w wyzdrowienie. To nie Rick chciał umrzeć, to ty wolałbyś, aby tak się stało. To ty chcesz uciec i skryć się w masywną dziurę przed zaistniałą sytuacją, nie twój syn. — Czowała, jak jej oczy napełniają się łzami. — To ty się musisz nauczyć, co znaczy odwaga — nie mały Rick!

Obrzucił ją rozzłoszczonym spojrzeniem i ruszył bez słowa korytarzem w kierunku schodów. Załamana patrzyła za nim. Prawdopodobnie nie wróci

już do Brandywine jako pielęgniarka Ricka. Któż weźmie Mattowi za złe, że nie chciał jej mieć u siebie, po tym, jak mu tak nagadała?

Niestety to było potrzebne. Matt musi uporać się sam z sobą, inaczej nigdy nie będzie szczęśliwy, tak jest pełen goryczy i zwątpienia. Gotów jest unieszczęśliwić syna, wmówić mu, że jest do niczego, gdyż nie może zrobić użytku z własnych nóg!

Uśmiechnęła się, gdy chłopiec popatrzył na nią, jak opuszcza kratę przy jego łóżku.

— Halo, już czas przyjść do siebie, młody człowieku! Napędziłeś nam strachu, wiesz? — Położyła rękę na jego czole. Było chłodne. — Myślę, że teraz twój tato i ja będziemy stale w pobliżu, dopóki nie wrócisz do domu. Gdybyśmy tego nie zrobili, mogłoby ci się znów przytrafić coś złego.

Rick uniósł nieco swą małą twarzyczkę.

— Kiedy wszyscy tu się zbiegli i doktor Fielding robił mi sztuczne oddychanie... słyszałem, co mówili. Jest... jest mi teraz gorzej niż przedtem, prawda? O wiele gorzej.

Uśmiechnęła się do niego.

— Tak, kochanie pogłaskała go po głowie — było z tobą niedobrze, ale teraz będzie już lepiej. Myślę, że wieczorem już usiądziesz i sam zjesz kolację, nie będę musiała cię karmić.

Szare oczy — tak bardzo przypominające oczy Matta — patrzyły na nią z powagą.

— Nigdy nie będę mógł chodzić ani jeździć na koniu, jak chciał tato, prawda?

Nakryła dłonią jego wątłą rączkę.

— Nie — powiedziała łagodnie — nie będziesz mógł chodzić, Ricky. Ale istnieje wiele rzeczy, które z powodzeniem będziesz mógł robić. Porozmawiamy o tym, jak będziesz nieco silniejszy.

— Wrócisz ze mną do domu, prawda? Przecież jesteś moją pielęgniarką...

Nie miała serca powiedzieć mu prawdy.

— Mam nadzieję — szepnęła uśmiechając się do niego słabo. — Może jak ładnie poproszę twego tatę....

— Jeśli nie wrócisz z nami do Brandywine — oświadczył z dziką determinacją Ricky — to i ja nie wrócę.

Tamtego wieczoru czekała w hallu, licząc, że Matt przyjdzie odwiedzić syna. Niestety nie pokazał się, w końcu więc wróciła do Ricka, który uszczęśliwiony grał w warcaby z jedną z praktykantek. W tym momencie

podjęła decyzję. Zadzwoni do hotelu i porozmawia z Mattem o swym powrocie do Brandywine.

Zgłosił się natychmiast, a jego głos zdradzał, że jest zmęczony i w złym humorze.

— Mówi Trudi. — Jej ręka trzymająca słuchawkę zaczęła niebezpiecznie drżeć. — Matt, czekałam, że przyjdiesz dziś wieczór...

Wydawało jej się, że wstrzymał oddech, jak gdyby naraz zdjął go strach.

— Coś z Rickiem?

— Rick czuje się dobrze — zapewniła z pośpiechem. — Trochę się zdziwił, że nie odwiedziłeś go dziś wieczór. Jestem pewna, że na ciebie czekał.

— Kazałem mu posłać cały stos książek z księgarni — powiedział głucho. — Takie jakie lubi. Tak czy tak niewiele więcej będzie mógł robić w przyszłości.

Wstrząsnął nią ten lodowaty, zacięty ton.

— Nie byłabym taką pesymistką. Niekiedy... niekiedy dzieci nas zaskakują.

— Próbujesz mi wmówić, że z czasem zaczniesz chodzić? To słyszałem już od Fieldinga i...

— Nie to miałam na myśli. Powiedziałam tylko, że wiara czyni cuda, Matt. Chcę, żebyś to pojął.

— A ja chcę, abyś wreszcie przestała mi wmawiać, że powinienem skakać do góry z radości, ponieważ mój syn żyje. Na coś takiego odpowiadam zawsze jednym pytaniem: Jaki sens ma życie w wózku? Nie umiesz na to odpowiedzieć, co?!

Po nieznośnej chwili ciszy Trudi zdobyła się na odwagę:

— Chcę cię prosić, abyś pozwolił mi zostać. Dlatego właśnie dzwonię. Nie ulega kwestii, że Rick będzie potrzebował pielęgniarki, tak jak przedtem. On i ja... bardzo się przywiązaliśmy do siebie, Matt.

Znów zapadła cisza. Trudi nie miała pojęcia, jak przyjmie jej prośbę.

— A co z Fieldingiem? Byłem przekonany, że obydwoje wsiądziecie do samolotu i polecicie do San Francisco.

— To już nieaktualne. Nie... nie zamierzam się z nim wiązać. Obydwoje popełniliśmy błąd. Teraz już to wiemy.

— Ach tak. No cóż, dobrze — rzekł wreszcie. — Wiesz, na co się decydujesz? Przedtem jeszcze istniała jakaś nadzieja, a teraz... może być całkiem inaczej — dokończył twardo.

— Inaczej? Ale przecież Rick nie jest bardziej chory niż przed operacją! Nie widzę powodu, żeby...

— Inaczej z nami — wyjaśnił głębokim, znużonym głosem. — Nie, nie chcę teraz o tym myśleć, co może stać się z nami. Nawet wtedy, gdy wiedziałem, że Fielding się tobą interesuje, wydawało mi się, że mam jakąś szansę. Gdyby Rick wyzdrowiał, mógłby zdarzyć się cud i zostałyabyś w Brandywine, zamiast wyjechać z tamtym. A teraz jest już za późno — ciągnął cicho. — Chciałbym, żebyś miała tego świadomość, zanim zdecydujesz się wrócić. Nie zamierzam całego czasu spędzać na ranczo, tak chyba będzie lepiej dla chłopca i dla mnie.

W Trudi narastała złość, złość na to osobliwe podejście do sprawy.

— Tak — rzuciła chłodno — chyba masz rację. Jeśli nie umiesz zaakceptować i pokochać syna takim, jaki jest, to rzeczywiście lepiej trzymaj się od niego z daleka.

— Przecież tego nie powiedziałem.

— A jednak to prawda, Matt. Nie odwiedziłeś go dziś wieczorem, gdy nie chcesz przyjąć do wiadomości, że operacja się nie udała. Przysłałeś mu książki — ale sam nie przyszedłeś.

— Cóż, chyba masz rację — przyznał szorstko po chwili milczenia. Zresztą tak chyba będzie lepiej dla chłopca. Poza tym jest bardzo przywiązany do ciebie, a ty będziesz przy nim, więc sprawa załatwiona.

— To znaczy, że... że mogę wrócić z Rickiem do Brandywine, gdy zostanie wypisany ze szpitala?

— Naturalnie. Bóg jeden wie, jak bardzo pragnę, aby Rick był szczęśliwy. Jeśli naprawdę chcesz przy nim zostać, to mogę być tylko zadowolony. Ale nie oczekuj, Trudi, że moje uczucia do niego z biegiem czasu ulegną zmianie, i nie wymagaj ode mnie wdzięczności, że moje dziecko, choć nadal chore, to przecież żyje. Nie dam się do tego zmusić, ani tobie, ani nikomu innemu.

— Nigdy od ciebie niczego nie zażądam — szepnęła miękko — przyrzekam.

Podczas następnych trzech tygodni miała uczucie, że od tamtej chwili, kiedy David wyjechał bez pożegnania, jej życie radykalnie się zmieniło. Niespodziewanie dowiedziała się, a było to w momencie, gdy właśnie kończyła służbę, że wezwano go telefonicznie z San Francisco i odleciał w nocy, przekazawszy wcześniej Ricka tutejszemu lekarzowi. Zresztą chłopiec czuł się z dnia na dzień lepiej i rozstanie z Davidem było tylko kwestią czasu.

W życiu Trudi została po nim dziwna pustka. Widywali się cztery, pięć razy dziennie i łączyła ich prawdziwa przyjaźń. A teraz go zabrakło. Nie chciała się do tego przyznać, ale brakowało jej wewnętrznej siły Davida i

jego znajomości rzeczy. Naraz odpowiedzialność za Ricka zaczęła jej ciążyć, po prostu bała się ponosić ją sama. Teraz było już wiadomo, że Matt odwrócił się na dobre od syna. Oczywiście przysyłał mu prezenty, a nawet go od czasu do czasu odwiedzał, lecz gdy lekarz mu powiedział, że Rickowi nie zagraża już niebezpieczeństwo, z miejsca wrócił do Brandywine. Matt nie potrafił znieść porażki. Zbyt długo żył nadzieją, że Rick wyzdrowieje, i teraz po prostu uciekł, zamiast pogodzić się z faktami.

Na prośbę Trudi zatrzymano chłopca jeszcze dwa następne tygodnie w szpitalu, stosując odpowiednią terapię. Po tym okresie sama zaczęła odważniej patrzeć w przyszłość.

W dniu wypisania Ricka ze szpitala pojechała z nim karetką na lotnisko, gdzie czekała na nich wynajęta przez Matta awionetka. W Percy's Pass powitała ich Jessie i dwóch pracowników Matta. Jego samego nie było.

Ułożyła z pomocą Jessie Ricka na tylnym siedzeniu w samochodzie i przygotowała na wszelki wypadek strzykawkę, w razie gdyby trzeba mu było zrobić zastrzyk, po czym ruszyli wąską drogą w kierunku Brandywine. Ze ściśniętym sercem myślała, że Matt nie wyjechał po syna. Kiedy minął kryzys, nieczęsto go odwiedzał, ale teraz Rick wracał do domu. Nie chciała, żeby spotkał go zawód, tak przecież czekał na tę chwilę... Ojciec na pewno przywita go w Brandywine, powtarzała sobie w myślach, choć jej serce było niespokojnie.

Niestety to Koury otworzył na oścież drewnianą bramę, machając przyjaźnie w kierunku samochodu.

— Cześć, kowboju! — krzyknął rozpromieniony chłopiec. — Troszczyłeś się o mojego konia?

— Jasne — mrugnął do niego Koury — ale nie tak, jak się powinno. Duch oprócz ciebie nikogo do siebie nie dopuszcza.

— Gdzie jest pan Frazier? — wmieszała się Trudi, zmieniając temat. Wolą nie słuchać o podstępym jej zdaniem ogierze, którego Rick uwielbiał, a ona panicznie się bała.

Kowboj potrząsnął głową, patrząc ze współczuciem na chłopca.

— Wczoraj w nocy wrócił z Bostonu, a teraz jest w Bee Ranch w pobliżu przełęczy, gdzie odbywa się aukcja. Powiedział, że być może wróci na kolację.

— Ach tak. — Uwagi Trudi nie uszło rozczarowanie na drobnej twarzy dziecka. — Będziemy musieli urządzić piknik bez zgody taty, prawda, Rick?

— Piknik?

— Tak — uśmiechnęła się do niego. — Pomyślałam, że moglibyśmy pojechać nad rzekę i tam zjeść podwieczorek. A przedtem jeszcze musimy zobaczyć, co robią małe pieski. — Siliła się na wesołość, nie chcąc dać poznać po sobie targających nią sprzecznych uczuć.

Jak Matt mógł tak postąpić z własnym synem, myślała z gniewem sadzając Ricka w wózku inwalidzkim. Trudno coś takiego pojąć — nie chce przywitać dziecka, a ono tak na to czekało! Nawet nie zadał sobie trudu, aby być w momencie, gdy syn wraca ze szpitala. To po prostu okrucieństwo z jego strony!

A przecież czuła w głębi serca, że to wszystko nie jest takie proste. To nie miało nic wspólnego ze zwykłym okrucieństwem czy egoizmem. Matt Frazier był skomplikowanym człowiekiem, zdążyła się już przekonać.

Doskonale o tym wiedziała, a przecież czuła do niego złość. Nie umiała jej się pozbyć nawet wtedy, gdy jedli nad rzeką przygotowany przez Jessy podwieczorek, rozmawiając o pobycie w szpitalu, zawartych tam przyjaźniach i przyjemności związanej z powrotem po dłuższym czasie do domu.

Późnym popołudniem położyła zmęczonego chłopca do łóżka, a sama usiadła na werandzie, rozkoszując się przedwieczorną ciszą i próbując dojść do ładu ze swymi uczuciami do Matta. A chociaż za wszelką cenę starała się zapomnieć tamtą noc, kiedy ją pocałował, raz po raz powracała do niej myślą, rozżalona, zła na samą siebie, nie mogąc pogodzić się z zawodem.

Zmierzchało już, kiedy raptem podniósł się tumult. Najpierw usłyszała zalekniiony krzyk Jessy, a potem nawoływania mężczyzn w pobliżu stajni. Skoczyła na równe nogi i pobiegła jak szalona sprawdzić, czy ten hałas nie wiąże się w jakiś sposób z Rickiem.. Na szczęście spał spokojnie, zbiegła więc z powrotem na dół.

Jessy stała w tylnych drzwiach i wyglądała na zewnątrz. Na widok Trudi potrzęsnęła niechętnie głową.

— Jestem zadowolona, że Rick śpi w domu, a mój syn pojechał do miasta. Ten przeklęty koń znów się urwał staranował zagrodę i teraz biega po obejściu jak zwariowany

Trudi wyjrzała ze strachem zza ramienia starej kobiety

— Chce pani powiedzieć, że Duch znowu im uciekł?

— Tak, skarbie. Niech pani lepiej zostanie w domu. Już oni tam go złapią, ale kto wie, czy ten biały szatan ni« wypruje wnętrzości któremuś z kowbojów. To bydlę chyba czuje, że Rick wrócił i chce się dostać do niego. Tylko dziecko potrafi go uspokoić. Zawsze tak było.

Naraz rozległ się donośny krzyk, a zaraz potem dzikie dudnienie kopyt. Wreszcie wszystko ucichło, koń został schwytany na łąso, jeszcze przez chwilę stawał dęba, a w końcu się uspokoił i stał teraz drżący, zlany potem, z błyszczącymi dziko oczami. Trudi zrobiło się żal srebrnobiałego zwierzęcia, które znowu zostało zamknięte w stajni. Była zadowolona, że Rick tego nie widzi.

Właśnie wchodziła na schody, chcąc zajrzeć do jego pokoju, gdy dobiegł ją odgłos nadjeżdżającego samochodu. To musiał być Matt, milczący, zgorzkniały, samotny. Usłyszała zatraskiwane drzwi i zamieniła się w słuch, czekając teraz w napięciu na zbliżające się kroki. On jednak nie ; poszedł prosto do domu. Widocznie musiał usłyszeć z daleka krzyki mężczyzn, bo najpierw postanowił chyba wypytać o przebieg zdarzenia. Dochodziły ją tylko strzępy opowiadania Koury'ego i podniesiony głos Matta zadającego pytania.

W parę minut później wszedł tylnym wejściem do hallu. Nie zaskoczył go jej widok.

— Z Rickiem wszystko w porządku? — Żadnych słów powitania, jedynie zainteresowanie z obowiązku.

— Tak — rzekła z bijącym sercem. — Śpi.

— Nie życzę sobie, abyś rozmawiała z nim o ogierze. — W jego głosie brzmiało gorzkie zdecydowanie. — Sprzedam go.

— Sprzedasz Ducha? Ale przecież wiesz, ile on znaczy dla dziecka.

Utkwił w niej lodowate spojrzenie.

— Chłopak nigdy nie będzie na nim jeździć, a więc jaki jest sens go trzymać? Kupiłem go Rickowi, kiedy... kiedy jeszcze miałem nadzieję, że będzie zdrowy. Zatrzymać konia to znaczy ciągle dawać mu do zrozumienia, że jest kaleką i takim pozostanie do końca swoich dni, że czeka go ponure, nikomu niepotrzebne, bezowocne życie.

Zanim zdążyła otworzyć usta, wyszedł na zewnątrz zatraskując za sobą z impetem drzwi.

ROZDZIAŁ 12

Trudi źle spała tej nocy. Śniło jej się, że Matt sprzedał ogiera i Rick, dowiedziawszy się o tym, zjechał z werandy, a ona biegła naprzeciw z wyciągniętymi rękami, lecz nie potrafiła zatrzymać toczącego się coraz szybciej wózka.

Obudziła się zlana potem. To tylko sen, zły sen, nic więcej, powtarzała sobie drżąc na całym ciele. Chyba Matt nie zdążył opowiedzieć dziecku o swym planie!

Narzuciła szlafrok i przez łączące ich pokoje zajrzała do chłopca. Ledwie świtało, więc nie spodziewała się zastać go rozbudzonego, a tymczasem on zdołał przejść z łóżka na wózek inwalidzki i teraz siedział przy dużym oknie, z którego rozciągał się widok na dolinę.

Nie odwracając się rzekł cicho:

— Tato wstał dziś bardzo wcześnie. Pewnie będą mieli dziś dużo roboty z cielętami. W dolinie jest około trzystu pięćdziesięciu krów i większość z nich się ocielila, Koury mi wczoraj opowiadał. — Dopiero teraz się odwrócił i spojrzał na nią. — Tato przyjechał wczoraj w nocy?

Przełknęła gorączkowo ślinę, mając nadzieję, że Rick nie dojrzy rozterki w jej oczach.

— Tak, kochanie. Wrócił bardzo późno i miał jeszcze wiele do zrobienia, inaczej by przyszedł do ciebie na górę.

— Nie — zaprzeczył ze smutkiem Ricky. — Nie dlatego nie przyszedł. On... on mnie już... nie lubi...

Przypadła do jego wózka i osunęła się na kolana.

— Mylisz się — zapewniała go rozpaczliwie, starając się zapanować nad swym głosem. — Jesteś w błędzie, Rick. Nie wolno ci tak mówić!

— Tato chciał, abym chodził i ujeździł Ducha, a kiedyś przejął ranczo. Dlatego unika mnie. Wie, że nigdy nie będę mógł tego robić.

Chciała coś odpowiedzieć, zapewnić go, że to wcale nie tak, lecz nie znalazła odpowiednich słów. To co Rick powiedział, było niestety prawdą. Wiedzieli to oboje. Mogła tylko pocieszyć dziecko, tuląc je w ramionach.

Boże, myślała błagalnie, nie pozwól Mattowi, aby powiedział Rickowi, że ma zamiar sprzedać Ducha! W każdym razie nie teraz! Nie teraz! Musi być jakaś droga, która przywiedzie Matta z powrotem do syna. Naraz zagościła w niej wiara, tak jak przedtem w szpitalu, że to możliwe. To, że straciła Matta, zanim naprawdę zdobyła jego serce, jest wyłącznie jej sprawą, ale chłopiec może umrzeć, jeśli nie odzyska miłości ojca i nie znajdzie u niego zrozumienia. To go zabije!

Przez cały dzień Jessy i Trudi gorączkowo szukały wymówek, aby trzymać chłopca z dala od Ducha. Matt wydał taki rozkaz i Trudi, chcąc nie chcąc, musiała się temu podporządkować.

Wreszcie Jessy zajęła chłopca przywiązywaniem pędów fasoli do palików w ogrodzie na tyłach domu, gdzie panował przyjemny chłód. Trudi nie chciało się za bardzo jechać do miasta, mimo to gdy Rick został ułożony do poobiedniego snu, zdecydowała się to zrobić. Czuła, że mała odmiana dobrze jej zrobi. Od kiedy wróciła z Rickiem do Brandywine, nie było już tak samo. Matt zachowywał się zgodnie ze swoją wcześniejszą zapowiedzią. Przecież oświadczył jeszcze w szpitalu, że Rick równie dobrze mógłby nie żyć, i najwyraźniej tak rzeczywiście uważał.

Na ulicach Percy's Pass panował spokój, tylko przed sklepem żelaznym kręciło się paru mężczyzn. Gmach sądu, z zielonym trawnikiem naokoło, i bank zdawały się jedynymi miejscami, gdzie zbierali się ludzie, uciekając przed niemiłosiernym upałem.

Trudi poszła do sklepu i kupiła warcaby, zorientowawszy się, że Rick swoją grę podarował szpitalnemu oddziałowi dziecięcemu, a potem ruszyła w kierunku księgarni, zamierzając mu wyszukać parę nowych książek, po krótkim zastanowieniu jednak zrezygnowała z tego. Czyż Matt nie powiedział w szpitalu, że książki są jedyną rzeczą, jaką może się zająć Rick, w jego mniemaniu kaleka bez żadnych widoków na przyszłość?

Przygnębiona usiadła na stopniach wiodących do księgarni, mając uczucie, że lada moment wybuchnie płaczem. Łagodny wietrzyk chłodził jej rozpaloną twarz. Musi być jakiś sposób, aby przywieść Matta do opamiętania, uświadomić mu, jak nierozsądnie się zachowuje. Nie to, żeby nie kochał syna, on po prostu nie mógł się pogodzić z tym, co wyrządziła mu żona, jego serce przepełniała złość i gorycz zawodu, a choroba syna dopełniła reszty.

Wstała ociężale. Miała przecież jeszcze do załatwienia całą listę zakupów. Między innymi chciała kupić trochę brzoskwiń. Jessy robiła doskonale lody brzoskwińowe, które Rick uwielbiał. Idąc do sklepu owocowego ujrzała mały, jaskrawoczerwony sportowy samochód, który właśnie objeżdżał plac, a siedząca za kierownicą kobieta najwyraźniej szukała okazji do rozmowy. Jeszcze tylko tego brakowało! Crystal Connor, przyjaciółka Matta. Ale czysty głos Crystal kazał jej się zatrzymać. Przypomniała sobie, że podczas ich pierwszej rozmowy Crystal rzeczywiście wyglądała na szczerze zmartwioną całą sytuacją, więc trudno jej było i teraz nie poświęcić chwili uwagi.

Zaczekała przed sklepem, aż Crystal zaparkuje. Podbiegła do niej zdyszana, z trwożliwą prośbą w oczach.

— Chciałam z panią porozmawiać, panno Dalton. To naprawdę ważna sprawa. Wejdzie pani na chwilę do mego zakładu?

— Tak, pamiętam. Niestety nie mogę za długo pozostawać z dala od Brandywine. Rick...

— To nie potrwa długo, naprawdę.

I znów Trudi uczuła, że nie da się nie lubić tej kobiety. W milczeniu przeszły kawałek i zatrzymały się przed wejściem, nad którym widniał jaskrawy neonowy napis: Salon piękności „Słodkie serce”. Spuszczone różowe rolety wskazywały, że zakład jest zamknięty.

Usiadły w służącym za biuro maleńkim pomieszczeniu na tyłach zakładu, minawszy jego główną salę z urządzeniami do różnych zabiegów, umywalkami i suszarkami do włosów.

— Tutaj się chowam, gdy czuję, że moje nogi muszą odpocząć — uśmiechnęła się nieśmiało Crystal. — Proszę usiąść, zaraz będzie kawa. Tego nigdy tu nie brakuje. Matt ciągle powtarza, że piję za dużo kawy i dlatego jestem taka nerwowa. — Kiedy mówiła o nim, jej głos brzmiał dziwnie miękko.

— Chciała mnie pani zapytać o Ricka? — Trudi czuła się nieswojo. Wydawało jej się nielojalnością wobec Matta, że siedzi tu z obcą w gruncie rzeczy kobietą i rozmawia o nim.

— Słyszałam już o chłopcu. Wiem, że mu się nie polepszyło — odparła rzeczowo Crystal. — To o Matcie chcę pomówić.

— O co chodzi? — spytała sucho Trudi. Nie cierpiała takich sytuacji. Sprawa Matta gnębiła ją od samego początku, ale nie miała chęci otwarcie o tym rozmawiać.

— To go dobiło, prawda? Proszę być ze mną szczerą, przecież jesteśmy przyjaciółmi od śmierci jego żony. Przyjeżdżał wtedy do miasta i godzinami błądził po ulicach, sprawiając wrażenie, że nie wytrzyma i targnie się na swoje życie. Zaczęliśmy rozmawiać, te rozmowy o gnębiących nas sprawach stały się zwyczajem i tak już zostało.

— Nie ma tu o czym mówić, panno Connor — rzekła chłodno Trudi. — Przecież pani wie, że stan Ricka nie uległ zmianie, zresztą założę się, że szumi o tym całe miasto. Jest skazany na wózek inwalidzki, i tak będzie pewnie do końca jego życia. A jeśli chodzi o pana Frazier — no cóż, to nie moja sprawa.

— Nie pani sprawa? Uważa mnie pani za głupią? Moja kochana, przecież wiem, że pani się w nim kocha. Nie, proszę poczekać — rzuciła

ślugałnie widząc, że Trudi wstaje — jeszcze nie skończyłam. To naprawdę ważne.

— Chyba wyraźnie dałam pani do zrozumienia, że nie chcę rozmawiać o tym pracodawcy. Nie powinnam była tu przychodzić.

— Pani go kocha — powiedziała z naciskiem Crystal — i wstydzi się pani tego. Zresztą nic dziwnego, on się tak zachowuje, że...

— Nie rozumiem, o czym pani mówi — zachnęła się Trudi.

— Chciałam porozmawiać o tym białym ogierze. Matt był dziś rano w mieście i szukał kogoś, kto by go kupił. Normalnie inaczej załatwia sprawy. To potencjalni nabywcy przychodzą do niego. Ale widocznie chce jak najszybciej pozbyć się konia, więc nie czeka na okazję, tylko sam jej szuka.

— Wiem — szepnęła Trudi. — Zakazał mi rozmawiać o nim z Rickiem. Niestety nie wiem, jak długo mi się to będzie udawało. Musi pani wiedzieć, że Rick kocha tego konia, zresztą ogier należy do niego. — Trudi poczuła raptem sympatię do tej starszej się kobiety, spoglądającej na nią poważnymi, smutnymi oczami.

— A tak przy okazji — wtrąciła Crystal — nie jestem panną, lecz panią Connor.

— Och, przepraszam. Sądziłam, że...

— Jestem wdową. Mój mąż i syn nie żyją. To Quent mnie tu przywiózł ze sobą. Od dawna chciał mieszkać na Zachodzie. Kupiliśmy kawałek gruntu po tamtej stronie gór, w okolicy, gdzie pogrzebani są Percy'owie, i zbudowaliśmy dom. Pewnego dnia byłam w mieście i właśnie wtedy wybuchł pożar. — Wspomnienie tego strasznego wydarzenia musiał zatrząść czas, gdyż powiedziała to obojętnie. — W jednej chwili straciłam wszystko. Otworzyłam po jakimś czasie tę firmę, a gdy poznałam Matta, zrobiło mi się odrobinę lżej. Przez krótką chwilę milczała. — Przyznaję, byłam w nim zakochana. Ale on mnie nie kochał — nigdy. W którymś momencie dałam za wygraną.

Wiem, jak to jest, pomyślała Trudi. Pokochać Matta całym sercem i nagle zrozumieć, że on nigdy nie odwzajemni tej miłości. Ja też się poddałam tak jak i ona.

— Kupił już ktoś tego ogiera? — Jej głos zabrzmiał o wiele za głośno w małym pomieszczeniu.

— Nie, jeszcze nie. Nie sądzę, aby w ogóle chciał go ktoś kupić. W takiej małej miejscinie wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy. Ludzie doskonale wiedzą, dla kogo koń został kupiony i czemu teraz ma zostać sprzedany, i uważają, że przynosi nieszczęście. Poza tym to niezwykle

narowisty koń, nawet sam Matt mówi, że tylko chłopcu pozwala zbliżać się do siebie.

— Czego się pani właściwie spodziewa? — Trudi wyczuwała dziwne napięcie, wyczekiwanie, jak gdyby Crystal miała w zanadrzu jakąś tajemnicę, lecz z jakiegoś powodu nie zdradzała się z nią..

— Musi pani wpłynąć na Matta — rzekła po prostu Crystal. — Znam go i wiem, co mu chodzi po głowie. Gdy go poznałam, był taki sam. Jego stan mnie przerażał, a przecież sama byłam na wpół oszalała z bólu po stracie męża i syna. Jest teraz dokładnie taki jak wtedy. Zachowuje się jak szaleniec i lada chwila eksploduje. Sprzedaż konia to dopiero początek.

— Nie umiem mu pomóc — szepnęła z rozpaczą Trudi i z wyczerpania zamknęła oczy. — Nie umiem! W jego głowie wszystko się wymieszało: zdrada żony, wypadek i jej śmierć. Jakże mogę przywrócić mu równowagę duchową? — Sięgnęła po torebkę i wstała. — Moim zadaniem jest opieka nad Rickiem i nic więcej. To wszystko, co mogę zrobić. Nie potrafię odmienić Matta, jak nie potrafiła zrobić tego pani dziesięć lat temu.

— Proszę zaczekać — zawołała porywczo Crystal. — Mimo wszystko uważam, że może go pani odmienić. Niełatwo mi to przyznać, ale nie mogę milczeć. — Zaklinającym gestem położyła dłoń na ramieniu Trudi. — On panią kocha, wiem na pewno. Zwróciłam uwagę na sposób, w jaki o pani mówi. Gdyby nie ten lekarz i utrata nadziei, że jego syn wyzdrowieje, wszystko byłoby inaczej.

— Nie — Trudi potrząsnęła przecząco głową — on już zatracił zdolność kochania i nikomu nie pozwoli sobie pomóc. Nic nie mogę na to poradzić, przykro mi, ale nie pozwolę, by złamał dziecku serce, choć nie umiem zapobiec sprzedaży konia.

— Może pani to zrobić. — Crystal wzięła filiżankę Trudi i dołała kawy. Jej ładna okrągła twarz miała wyraz żarliwości, gdy podniecona zaczęła mówić:

— Proszę mnie posłuchać...

Kiedy Trudi wracała, zapadał już zmierzch. Zapomniała z tego wszystkiego wstąpić do sklepu jarzynowego. Co innego teraz miała w głowie. Crystal przedstawiła jej plan, jak go nazwała, i od tego momentu tylko on zaprzętał jej uwagę. To był szalony pomysł, niemal rozpaczliwy. Musiała spiskować z dzieckiem, aby okiełznać jego ojca, zawrócić go ze zgubnej drogi, która niechybnie musiała skończyć się samobójstwem. Gdyby ten plan się powiódł, życie Ricka też nabrałoby sensu i byłoby szczęśliwsze.

W drodze do Brandywine opracowała go w szczegółach, opierając się na schemacie, jaki zarysowała jej Crystal. Kiedy jednak pomyślała o zimnych, zdradzających upór, rozgoryczonych oczach Matta, niemal straciła nadzieję, że zamierzenie może się powieść.

W kuchni zastała Jessy, Ricka i młodego Harveya przy kolacji. Tak, podjęła już decyzję: zrobi wszystko, aby zwrócić synowi ojca.

RS

ROZDZIAŁ 13

W następnym tygodniu Matt, Rick i Trudi spotykali się jedynie przy śniadaniu. Matt siedział u szczytu stołu, rozmawiając przyjaźnie z synem, lecz między nimi wyrosło coś na kształt bariery nie do pokonania. Zgryzota nie pozwalała mu zaznać spokoju, wyganiała go z Brandywine, jak najdalej od miejsca, gdzie wszystko mu przypominało, że jego syn jest kaleką i taki już zostanie do końca życia.

Kiedy w piątek zeszła z Rickiem na lunch, niespodziewanie zastała go w jadalni. O tej porze zwykle był bardzo zajęty i jadał w wolnej chwili z pracownikami.

— Tatusiu! — krzyknął cieniutkim z radości głosem Rick. — Nie wiedziałem... Trudi i ja nie wiedzieliśmy, że zjesz dziś z nami.

— Nie mam za wiele czasu — rzekł niemal obojętnie, nie zwracając uwagi na ożywienie syna. — Chciałem wam tylko powiedzieć, że najbliższe sześć tygodni będę w Austin, na targach bydła. Poza tym mam jeszcze do sprzedaży konie, a to potrwa. W każdym razie przez jakiś czas nie będzie mnie w domu i musisz być samodzielny, Rick, oczywiście z pomocą Trudi. — Odstawił filiżankę po kawie i podniósł się: postawny, zamknięty w sobie mężczyzna, któremu wydawało się, że wszystko skończone. Serce Trudi zabiło niespokojnie, gdy na niego spojrzała. Sześć tygodni! Czy to wystarczy, aby przeprowadzić plan?

— Wszystko będzie dobrze — zapewniła go. — Jessy mi mówiła, że do Ricka ma przyjeżdżać nauczycielka z Percy's Pass. Skontaktuję się z nią w sprawie podręczników. — Uśmiechnęła się do chłopca: — Kiedy pewnego dnia obejmiesz zarząd nad posiadłością, musisz doskonale umieć dodawać i mnożyć, a także prowadzić księgi gospodarskie.

Matt zbladł jak ściana i ściągnął gniewnie brwi.

— Zanim wyjdę, chciałbym z tobą pomówić. Trudi. — Podał synowi rękę. — Przywiozę ci kilka nowych książek i będę wysyłał pocztówki.

— Dobrze — powiedział cicho Rick i choć Trudi celowo na niego nie patrzyła, wiedziała, że ma łzy w oczach. Do widzenia...

Usadowiła chłopca na werandzie, a sama poszła do swego pokoju, aby się przebrać, gdy do drzwi zapukał Matt.

— Proszę — rzuciła, przeglądając się pośpiesznie w owalnym lustrze.

— Zapomnij o wskazówkach, jakie ci dałem, gdy przyjechałaś tutaj zaczął już od drzwi, śmiesznie wysoki w tym małym, przewiewnym pokoju.

— Słucham?

— Wtedy ci powiedziałem, że masz rozmawiać z Rickiem o konnej jeździe, o Duchu i o tym, że kiedyś będzie zarządzał ranczem. Teraz jest inaczej — ciągnął matowym, pełnym goryczy głosem. — To nierozsądne rozmawiać z nim tak, jak to robiłaś dziś w południe. Operacja się nie udała — wiesz o tym ty, wiem ja i wie chłopak. Im szybciej przyzwyczai się do myśli, że spędzi całe życie w wózku inwalidzkim, tym lepiej. Najwyżej możesz go nakłonić, aby wziął jeszcze parę dodatkowych lekcji. Miałyby wtedy przynajmniej jakieś zajęcie, tym bardziej że idzie zima.

Niemal wstrzymała oddech, lękając się postawić to jedno pytanie.

— Nie sprzedałaś jeszcze Ducha, Matt, prawda?

Nie. W Percy's Pass nie ma nikogo, kto by był tak szalony, żeby wyłożyć ciężkie pieniądze za pewną śmierć pod jego kopytami.

Jej serce waliło jak młotem, jego uderzenia rozsadały jej skronie.

— Chyba nie weźmiesz go ze sobą? Szczególnie w tej chwili byłoby to dla Ricka zbyt ciężkie przeżycie. Nie będzie cię tak długo... Myślę, że gdybyś mu jeszcze zabrał konia, mógłby się rozchorować. Szare oczy spochmurniały.

— Rozchorować?

— Zmartwienie może osłabić każdego — zaczęła starannie dobierając słowa — a co dopiero małego chłopca, którego zdrowie i tak już jest poważnie nadszarpnięte.

Milczał przez parę sekund, wreszcie rzekł:

— Tak czy tak, pozbędę się go. Dobrze, zatrzymam ogiera do momentu, aż Rick będzie silniejszy. Ale jeśli jeszcze raz ten zwariowany koń rozwali zagrodę, zastrzelę go. — Zniżył głos. — To najlepsze, co można zrobić. Chłopak nie musi o tym wiedzieć. Powiem mu, że sprzedałem Ducha jako ogiera rozplodowego. Rick nie jest bezpieczny z tym dzikim stworzeniem w pobliżu. To prawdziwy szatan, i taki już zostanie.

Stojąc w drzwiach posłał jej ostatnie dające do myślenia spojrzenie. Trudi nie potrafiłaby go rozgryźć, nawet gdyby od tego zależało jej życie.

— Ciebie czynię odpowiedzialną za to, że Rick będzie się trzymał z daleka od Ducha. Kiedy wrócę do domu, koń na zawsze zniknie mu z oczu, to postanowione. Chłopak będzie wtedy chyba mocniejszy i łatwiej mu przyjdzie pogodzić się z tym, prawda?

Z tych ostatnich słów dała się wyczytać głęboka troska, choć Matt nie chciał jej okazać.

— Jestem tego absolutnie pewna. Pożegnasz się z nim osobiście czy mam mu przekazać, że nie miałaś czasu?

W tym pytaniu było oskarżenie.

— Wiem, co masz na myśli — rzekł chłodno. — Może zresztą masz rację. Może nie jestem zbyt dobry dla syna. Ale taki już mam sposób bycia — i nie znam innego.

— To co robisz, jest zwykłą ucieczką. Nie uporałeś się jeszcze z przeszłością i teraz wyżywasz się na dziecku... Ciągłe powtarzasz, że Rick ma się zachowywać jak prawdziwy mężczyzna. Czy to oznacza, że tak jak ty ma uciekać przed rzeczywistością? Ty przecież to robisz nieustannie!

Twarz Matta spurpurowiała.

— Skoro wiesz lepiej, jak się obchodzić z Rickiem, pożegnaj go ode mnie. — Towarzyszyło temu tak silne trzaśnięcie drzwiami, że staromodne lustro na ścianie zakołysało się niebezpiecznie.

Przez resztę popołudnia spacerowała z chłopcem po ranczu. Sama popychała wózek, nie pozwalając, aby robił to Rick, jeszcze osłabiony po niedawnej operacji. Bez słowa przyjął do wiadomości, że ojciec wyjechał bez pożegnania. Trudi czuła, że obdarzony wyjątkową w jego wieku przenikliwością chłopiec, domyśla się przyczyn takiego postępowania, ale na ten temat nie padło ani jedno słowo.

Kiedy leżał już w łóżku, poszła do kuchni, gdzie Jessie zajęta była smażeniem konfitur. Miała straszną ochotę wciągnąć do tajemnicy także starą kobietę. Już, już zaczynała mówić o ułożonym przez Crystal planie, lecz w porę wycofała się. Jessie od lat przebywała w Brandywine i była niesamowicie lojalna wobec Matta. A prawda wyglądała tak, że zwariowany pomysł, jaki Crystal wbiła jej do głowy, pozostawał w sprzeczności z poleceniami Matta. Trudi bała się. Plan mógł się nie powieść, w dodatku był niebezpieczny, przede wszystkim dla Ricka.

— Wygląda pani jak dziewczyna, która ma kłopoty i nie umie sobie z nimi poradzić — zauważyła w końcu Jessie, stojąc przy palenisku i cierpliwie mieszając borówkowy sos, żeby się nie przypalił. Całą kuchnię wypełniał słodki aromat jagód. — Gdy ze mną dzieje się coś takiego — powiedziała jakby mimochodem — wychodzę z domu i od razu czuję się lepiej.

— Koury pojechał na zakupy do miasta, tak mi się przynajmniej zdaje. A nowy wóz zabrał Matt.

— Nie myślałam o wyjeździe samochodem. — Jessie stała teraz tyłem, zajęta konfiturami. — Miałam na myśli przejażdżkę konną. — Zostało to powiedziane spokojnie i najwidoczniej z rozmysłem

Trudi zapało niemal dech z wrażenia. Czyżby Jessie umiała czytać w myślach?!

— Rzeczywiście mogłabym to zrobić — rzekła ostrożnie. — Wpadł mi w oczy ładny kasztanek, na którym jeździ Koury. Wygląda na bardzo łagodne zwierzę. Może mogłabym wziąć nawet Ricka. Jestem pewna, że by mu to nie zaszkodziło.

Jessy posłała jej pełne zrozumienia spojrzenie.

— Przygotuję wam torbę z kolacją. Zachód słońca tam po drugiej stronie, w górach, jest wyjątkowo piękny. — Trudi była już w drzwiach, kiedy jeszcze raz zatrzymał ją głos Jessy. — Chyba pani nie żartowała mówiąc, że jeździ konno? Przecież koń z Kentucky nie różni się chyba od tego z Teksasu?

— Matt co prawda mówi, że tutejsze konie są większe i żywotniejsze — roześmiała się Trudi — ale to nieprawda.

Właśnie pchała wózek z Rickiem w kierunku stajni, gdzie stały konie wierzchowe, gdy z tyłu nadjechał jeden z kowbojów, wznecając tumany kurzu.

— Trudi, poczta dla pani! — zawołał szczerząc zęby w uśmiechu. I paczka dla ciebie. Rick. Wygląda to na podręczniki szkolne.

— Otworzyć ją? — spytał niecierpliwie chłopiec.

— Zabierzemy ją ze sobą. Myślę, że ta mała klacz jest na tyle silna, by udźwignąć nas z tym wszystkim. Czy u podnóża gór będzie można ją napić?

Rick był tak podniecony perspektywą czekającej go wycieczki, że już zdążył odjechać spory kawałek.

— W rzece — zawołał przez ramię. — Wcześniej często bywałem w górach, więc znam tam każdy kamień.

Trudi zwolniła kroku, by obejrzeć dokładnie białą kopertę, po czym rozerwała ją. Był to list z Centrum Medycznego w Lexington, a napisał go jej przełożony z okresu praktyki odbywanej w tamtejszym szpitalu. Proponowano jej stanowisko siostry przełożonej na oddziale chirurgicznym. To była prawdziwa okazja! Propozycja przyszła tak nieoczekiwanie, że dosłownie oszołomiła Trudi. Jeszcze raz przebiegła wzrokiem pismo, złożyła je i wsunęła do kieszeni, aby w chwilę potem w chłodzie stajni przeczytać je na nowo:

... na wniosek naczelnego chirurga Centrum Medyczne i Dyrekcja Szpitala proponują Pani stanowisko siostry przełożonej na oddziale chirurgicznym. Praca pani polegałaby na nadzorowaniu czterech sal operacyjnych i asystowaniu chirurgowi...

Rosine. Tak, to ona maczała w tym palce. Mieszkały w jednym pokoju podczas nauki w Centrum Medycznym i bardzo się zaprzyjaźniły. Rosine

zawsze była niesłuchanie zaradna i nawiązała całe mnóstwo przydatnych znajomości. Trudi podeszła do klaczki i pogłaskała jej chrapy. Jeśli plan się powiedzie, jeśli uda jej się przywrócić stan, jaki normalnie powinien być między ojcem i synem, kiedy znów staną się sobie bliscy, wtedy skorzysta z propozycji...

W chwilę potem z pomocą jednego ze stajennych osiodłała konia i ruszyła z Rickiem w kierunku zamykających dolinę szaroczerwonych gór. Minęło trochę czasu od momentu, kiedy ostatni raz siedziała na koniu, wkrótce jednak dopasowała się do spokojnego rytmu, narzuconego przez łagodną klacz. Miała przed sobą szczupłe ciało Ricka, lecz nie było w nim śladu napięcia. Zanim zachorował, musiał być dobrym jeźdźcem, pomyślała.

Wychyliła się nieco do przodu i dotknęła jego dłoni trzymającej lejce.

— Powiedz mi, gdy będziesz zmęczony, kochanie.

— Nie jestem zmęczony — zaprzeczył żywo. — Dawniej często jeździłem tą drogą.

Klacz szła stępa, jakby czując, że niesie na grzbiecie szczególnie, drogocenny ciężar. U stóp najwyższej góry Trudi zeskoczyła na ziemię, po czym wyciągnęła ramiona, aby zdjąć chłopca i zanieść go w cieniste miejsce nad wąską w tym miejscu rzeką.

— Jessy przygotowała tyle jedzenia, że starczyłoby go dla całej armii — powiedziała ze śmiechem, pomagając Rickowi przyjąć wygodną pozycję. — Tutaj panuje przyjemny chłód, a to wzmacnia apetyt. — Ujęła małą rączkę, patrząc baczenie na dziecko. — Nie zmęczyła cię za bardzo jazda, Rick?

— Skądże! — zapewnił skwapliwie. — Patrzyłem właśnie... na ten cmentarzyk tam w oddali. Wiesz, że często tu przyjeżdżałem i...

— ...składałeś kwiaty na grobach tej nieszczęsnej rodziny — wpadła mu w słowo. — Wiem, mój skarbie, Jessy mi opowiadała. Mówiła, że szczególnie często wspominałeś ich matkę. Wiesz co? Teraz coś zjesz — rzekła podając mu sporą kanapkę — a potem zerwiemy trochę polnych kwiatów. Pomogę ci przystroić nimi ich groby.

Skinął z zapalem głową.

— Wiesz, Trudi — powiedział cicho wznosząc na nią oczy — już nie myślę tak często o pani Percy. Kiedyś wyobrażałem sobie, że... że to moja mama... — Spuścił wzrok, a jego twarzyczka była tak czerwona z zakłopotania, jak tylko może być u małego chłopca. — Teraz jest inaczej. Chętnie będę nadal składał kwiaty na jej grobie, ale już nie będę sobie wyobrażał, że to moja mama. — Spojrzał na Trudi, a w jego oczach objawiło się całe spragnione miłości serce. — Teraz mam ciebie.

Odwróciła wzrok i w milczeniu patrzyła poprzez dolinę w kierunku Brandywine, a list w kieszeni dzinsów palił ją jak wyrzut sumienia. W dziwnym poczuciu winy dotknęła brzegu pomiętej koperty. Co stanie się z Rickiem, gdy ona go opuści? Nic, absolutnie nic, odpowiedziała zdecydowana samej sobie, ponieważ nigdy go nie opuści, ponieważ chłopiec nie ma nikogo, kto mógłby być dla niego podporą. Gdyby Matt inaczej traktował syna! Gdyby potrafił odnosić się do niego z miłością, zamiast odczuwać na jego widok gniewny wstyd — wtedy mogłaby odejść...

Nalała Rickowi z termosu zimnego mleka. Jak wyglądałaby jej praca w sterylnym, białym świetle sal operacyjnych wielkomiejskiego szpitala? Jak potoczyłoby się życie? Znów spojrzała w kierunku majaczących na horyzoncie zabudowań Brandywine. Jak bardzo przywiązała się do tego miejsca! Nigdy nie przypuszczała, że może tak pokochać ten zakątek ziemi, że myśl o wyjeździe sprawiała jej ból. I to mimo upału, kurzu, rozległych przestrzeni, gdzie przez wiele godzin jazdy można było nie spotkać żywego człowieka, mimo surowych gór, które z początku napawały ją lękiem!

Wspomniała tamtą dziką noc, kiedy Matt nagle zerwał ze swą powściągliwością i zaczął ją całować, i na jedno mgnienie oka wstrzymała oddech. Naraz przed oczyma jej duszy odkryła się prawda: nieoczekiwana, a przecież tak wyraźna jak odbicie własnej twarzy w małej zatoczce górskiej rzeki, gdy schyliła się, aby umyć kubek po mleku.

Kocham go. Ciągle jeszcze go kocham, i nigdy nie przestanę. Nawet jeśli wrócę do Lexington, me uczucia nie ulegną zmianie, choć mówi się, że czas lecz rany.

Rick wrzucił kamień do rzeki i uśmiechnął się.

— Wiesz, Trudi, gdy jechaliśmy tutaj, pomyślałem, że mógłbym sam jeździć na takim koniu jak ten.

Kroiła właśnie ciasto upieczone dla nich przez Jessy. Naprawdę? — spytała jakby mimochodem nie podnosząc oczu. — Moglibyśmy spróbować, czy dasz radę przejechać ścieżką biegnącą wzdłuż rzeki, oczywiście jeśli jesteś pewny, że zdołasz to zrobić.

— Na pewno. Ta klacz jest taka łagodna. — Uważnie spojrzął na Trudi. — Tato chce zastrzelić Ducha, prawda? Wiem, że chce to zrobić. Od razu się zorientowałem, gdy zabronił stajennym wpuszczać mnie do niego. Założę się, że już dawno by to zrobił, gdyby się nie bał, że rozchoruję się z żalu — dodał drżącym głosem. — Czeka, aż będę silniejszy, i wtedy to zrobi.

A więc wiedział. Nie było sensu go okłamywać, zresztą nie czuła się zdolna do czegoś takiego. W milczeniu zaczęła pakować resztki kolacji, widelce i papierowe talerze, spoglądając ukradkiem, jak chłopiec bez apetytu żuje kawałek ciasta, a potem nazbierała naręcze niebieskich kwiatów, rosnących w wysokiej trawie u podnóża góry.

— Rick, wsadzę cię teraz na konia i pojedziesz obok mnie. Złożymy kwiaty na grobach i odmówimy krótką modlitwę.

Nie. spuszczał z niej wzroku.

— Mam rację, prawda, Trudi? Tato chce zastrzelić Ducha.

W tym momencie podjęła decyzję. Wsadziła chłopca na grzbiet klaczy i otoczyła go ramieniem.

— Chcę z tobą pomówić, Rick — rzekła łagodnie, spoglądając na niego rozjaśnionymi oczyma. — Zdradzę ci pewną tajemnicę. Jest sposób, aby do tego nie dopuścić: Jeśli się postaramy, na pewno się uda, a wtedy wszystko zmieni się na lepsze, przyrzekam ci.

RS

ROZDZIAŁ 14

Chłody nadeszły całkiem niespodziewanie. Mroźne noce i wiatry od gór zmusiły kowbojów do palenia w małych piecykach na kwaterach. Jessie sporządzała w kuchni ostatnie tego lata przetwory. Wieczorami Trudi i Rick przyglądali się z werandy albo okien pokoju ogniskom rozpalanym przez kowbojów, słuchając wygrywanych przez nich na harmonijkach ustnych melodii i śpiewanych pieśni. Niekiedy sadzała chłopca w wózku inwalidzkim, otulała ciepło i przyłączali się do wesołego towarzystwa.

Tak mijał dzień za dniem. W Brandywine zawiązało się tajemnicze sprzysiężenie. Niejeden kowboj wiedział, że ładna, pełna temperamentu siostra z Kentucky z rozmysłem omija zakazy Matta, lecz nie puszczał pary z ust. Trudi i Rick jadali teraz lunch w gronie dwudziestu dwóch pracowników, a nie w dużej jadalni, i te południowe spotkania były wesołe i serdeczne.

Po obiedzie Rick miał lekcje. Doktor Fielding, zanim wyjechał, i stary lekarz z Percy's Pass zdecydowali zgodnie, że dla dziecka będzie to pewne urozmaicenie, więc Matt na okres zimy zaangażował nauczycielkę.

Minał już miesiąc od jego wyjazdu. Trudi siedziała na werandzie, chłonąc wzrokiem pasmo górskie, które z powodu przejrzystości jesiennego powietrza, przypominającego już o nadciągającej zimie, wydawało jej się teraz bardziej pofałdowane niż w lecie i tym samym jeszcze groźniejsze. Za szczytami zachodziło w wilgotnej czerwonej otoczce słońce, oblewając je szkarłatną poświatą.

— Zimą w Brandywine odcięcie od świata bardziej daje się we znaki niż w innych porach roku — mruknęła Jessie stając w drzwiach. — Pewnie pani zmarła. Proszę wejść do środka. Właśnie zaparzyłam kawę.

— Dziękuję, Jessie — spojrzała na nią z wdzięcznością Trudi. — Siedziałam tutaj starając się pozbierać myśli, lecz nie za bardzo mi się to udało.

Weszła za starą kobietą do ciepłej kuchni, gdzie zawsze czuła się bezpiecznie jak dziecko w pobliżu matki, i przyglądała się, jak Jessie stawia na stole dzbanek z gorącą czarną kawą, zdobiony wokół znakami Brandywine, drugi mniejszy z gęstą śmietaną i salaterkę konfitur, a obok na talerzu kładzie kromki świeżo upieczonego, chrupiącego chleba.

— Chce nas pani opuścić? — Jessie przyglądała jej się badawczo.

— Cóż, jeśli sprawy ułożą się zgodnie z moim życzeniem, to chyba wrócę do domu — westchnęła czując napływające do oczu łzy. — Bardzo chciałam tu wrócić jako pielęgniarka Ricka, ale... ale nie wiedziałam, że to

będzie takie trudne. — Podniosła głowę i spojrzała w szczerą twarz stara kobieta. — To z powodu Matta. Sama pani wie, jaki jest. On... on się tak zmienił. — Jej głos zadrżał. — Ja mogę znieść... jego oziębłość... ale dla Ricka... Dlatego próbuję to zmienić. — Nie wspomniała o tajemniczym planie, do którego namówiła ją Crystal, lecz Jessie miała oczy i uszy otwarte i z pewnością wiedziała, co się dzieje z tyłu za domem.

— A kiedy uda się pani skłonić ojca, aby pogodził się z losem i okazał trochę uczucia synowi, zechce nas pani opuścić — raczej stwierdziła, niż zapytała, rozlewając do filiżanek kawę. — Nie uda się to pani, oj nie — potrząsnęła z przekonaniem głową — za daleko już pani zaszła.

— Nie... nie rozumiem....

— Ma pani przecież dość rozsądku, aby wiedzieć, że taki mężczyzna jak Matt nie poprzestanie na miłości do dziecka, nawet jeżeli znów znajdzie dla niego miejsce w swym sercu. — Wyciągnęła ponad stołem popękana, spracowana rękę i dotknęła ramienia Trudi. — Miłość ma to do siebie, że potrafi rozszerzyć się także na innych, moja ty mała dziewczynko. Jeśli uda się pani przeprowadzić ten tajemniczy plan... na pani miejscu nie liczyłabym za bardzo na powrót do Kentucky. — Spojrzała łobuzersko na nią i w Trudi w tym momencie ożyło wspomnienie tych cudownych chwil, kiedy leżała w ramionach Matta, a wraz z nim stara, dawno już pogrzebana nadzieja...

Ale czy wolno jej było aż tyle oczekiwać od losu?! Dopiła kawę i podniosła się.

— Rick chyba skończył już lekcje. Nie wiem, Jessie, czy ma pani rację — uśmiechnęła się słabo — ale dziękuję, że mi pani dodała odwagi.

— Dziś rano przy śniadaniu słyszałam, jak kowboje mówili między sobą, że Matt wróci szybciej, niż planował — stara kobieta patrzyła na nią z wyraźną troską.

— Ale... miało go nie być sześć tygodni — wyszeptwała przerażona. — Potrzebuję czasu, aby zdobyć pewność...

— Koury uważa, że Matt może wrócić nawet dziś w nocy. Tak mi przykro, serduszko. Wiem, co robicie z chłopcem, i tak bym chciała, aby to nie był daremny trud, ale tu się nie da chyba nic zmienić.

Z sercem na ramieniu Trudi weszła do przestronnego, mrocznego hallu. Z góry dobiegł ją głos żegnającej się właśnie pani Hastings, nauczycielki, która każdego dnia przyjeżdżała do Ricka z Percy's Pass. Może nie jest za wcześnie... Może wolno mi się już odważyć...

Wieczór był tak zimny, że nie było mowy o spacerze, siedzieli więc z Jessie i jej synem i oglądali telewizję. Wreszcie nadeszła pora, kiedy Rick

szedł spać. Chłopiec nie wiedział, że jego ojciec ma wrócić w nocy. Trudi nie miała serca mu o tym mówić, tym bardziej że to na razie było tylko przypuszczenie. Gdyby Matt rzeczywiście wrócił tej nocy, tajemnicze zajęcia z tyłu za stajniami musiałyby siłą rzeczy zostać przerwane. Jutro rano będzie dość czasu, aby powiedzieć o tym dziecku, a teraz niech śpi spokojnie.

Potem siedziały jeszcze długo z Jessy. Żadna się do tego nie przyznała, lecz prawdziwym powodem było, że obie czekały na Matta. Wreszcie Jessy odłożyła robotę na drutach.

— Mam nadzieję, że żaden z tych pyskatek kowbojów nie wypaple, co tu robiliście pod jego nieobecność, bo inaczej jeszcze gotów panią z miejsca wyrzucić. Musiałaby pani wtedy wyjechać nocnym pociągiem.

— Nie zdradzą mnie — odparła z przekonaniem Trudi. W tym momencie usłyszały warkot silnika. Podeszła do okna i zobaczyła zbliżające się reflektory. — To on. Jestem pewna, że to jego samochód.

— Na pani miejscu położyłabym się teraz do łóżka, żeby nie zdążył zadać żadnych pytań. Jednej rzeczy nie może znieść: gdy ktoś nie wykonuje jego rozkazów.

— Jessy, przecież pani wie tak samo dobrze jak ja, że w tym wypadku to było zupełnie co innego.

Ale Jessy niemal siłą wyprowadziła ją do hallu i popchnęła w kierunku schodów.

— Jest prawie północ, a o północy wszystko wygląda inaczej niż za dnia. Nie jestem w nastroju, aby znosić wybuchy wściekłości Fraziera o takiej porze.

— No dobrze — poddała się niechętnie Trudi. — Idę spać. Ale nie zrobiła tego. Usiadła na parapecie, przyglądając

się, jak Matt wysiada z samochodu i z tyłu za werandą rozmawia z Kourym. Jak to było możliwe, że bojąc się, jednocześnie go kochała? To przecież wyglądało na paradoks. Ale czyż nie było tak, że miał w sobie dwóch mężczyzn? Jednym z nich był złamany samotnością, namiętny kochanek, który niemal szturmem wziął ją w ramiona, a potem całował, aż świat zakołysał się i stanął w miejscu, a drugim gniewny, surowy władczy pan z Brandywine, który nie tylko kowbojem, ale nawet Jessy potrafił napędzić strachu.

Widziała, jak wszedł do domu, a potem czekała na odgłos jego kroków, gdy będzie szedł do swego pokoju. Czy przedtem zatrzyma się na moment przed jej drzwiami?

Musiał być już w połowie schodów, gdy nagle zrobił się nieopisany hałas. Najpierw rozległo się przerażające w ciszy nocnej rzenie, a potem cała seria miarowych uderzeń. Usłyszała, jak Matt zbiega z powrotem na dół, i co prędzej przypadła do okna. Nie widziała Matta, a to znaczyło, że jeszcze jest w domu albo wybiegł tylnym wejściem. Narzuciła pośpiesznie szlafrok i zbiegła po schodach, chcąc z okna wychodzącego na tyły domu zerknąć ku stajniom. Właśnie wypadła ze swego pokoju Jessy.

— To Duch! — wyszeptała pobladłymi wargami Trudi. — Znowu się wy dostał na wolność!

— On chyba się wściekł. — Głos Jessy brzmiał bojaźliwie, lecz nie wiadomo było, czy boi się znarowionego ogiera, czy reakcji Matta.

— Mówiłam Koury'emu, że czas umieścić Ducha w zagrodzie z innym końmi — krzyknęła z rozpaczą Trudi. — To dlatego, że stoi cały czas sam!

Umilkły na widok wychodzącego ze stajni Matta. Na kilka sekund światło księżyca zalało jego zaciętą twarz. Serce Trudi zatrzepotało jak schwytany ptak.

— Nienawidzi tego konia — szepnęła Jessy — bo przypomina mu za każdym razem, że Rick nie będzie chodził. Tak jak wtedy konie przypominały mu zdradę żony.

Popatrzyły na siebie zaleknione, myśląc o jednym. O tamtej nocy przed laty, kiedy oszalały z bólu, zrozpaczony Matt oświadczył, że zastrzeli konie, które podarował niewiernej Sandrze. A teraz w tej samej stajni stał jeszcze jeden koń — dziki olbrzym, zdecydowany roznieść wszystko kopytami.

W tym momencie zobaczyła go wracającego z bronią w rękę. Wyrwała się Jessy, która próbowała ją zatrzymać, i jednym szarpnięciem otworzyła okno.

— Matt! — krzyknęła rozzwierając. — Zaczekaj, Matt! Proszę, nie idź tam! Nie zabijaj go!

Zatrzymał się niechętnie, spojrział do góry, a potem bez pośpiechu, najwyraźniej zdecydowany, ruszył w kierunku stajni. Trudi wypadła na dwór. Jak przez mgłę dotarło do niej, że w oknie zamajaczyła postać Ricka. Udało mu się dostać do okna i otworzyć je.

— Zrób coś, żeby nie zabił Ducha, Trudi! — zawołał zrozpaczony. — Nie pozwól mu tego zrobić!

Minęła w biegu Koury'ego i paru innych kowbojów, którzy z boku przyglądali się bezradnie całej scenie.

— To nie ma sensu — krzyknął za nią Koury. — Niech pani tam nie wchodzi!

Nie słuchała, pędząc na złamanie karku przez wilgotną, lodową trawę. Znowu zawołała, lecz Matt był już w stajni i nie odezwał się. Wpadła do środka i zatrzymała się niepewnie. Dopiero po chwili w mętym świetle dojrzała zarysy wielkiego ogiera, bijącego z groźną monotonią kopytami w drewnianą przegrodę, a trzask pękającego drewna niósł się aż pod strop wielkiego, pustego pomieszczenia.

— Matt! — przypadła do niego, ale brutalnie odsunął ją ręką, nie zaszczycając nawet jednym spojrzeniem. Wpatrywał się w konia, a w jego oczach płonęła nienawiść. Koń widocznie coś przeczuwał, bo raz po raz wydawał z siebie przerażające rzenie.

— Zabieraj się stąd, i to szybko! Idź do chłopaka, no już!

— Nie! — wrzasnęła dziko, uczepiwszy się rozpaczliwie jego ramienia. — Najpierw wysłuchaj mnie, Matt! Ten koń źle znosi samotność. Zaraz się uspokoi, gdy umieścisz go z innymi końmi! Trzymasz go samego w tym wielkim pomieszczeniu i dlatego szaleje!

— Wrócisz do domu czy będziesz się przyglądać, jak go zastrzelę? — Położył palec na spuście i wycelował starannie. — Nie chcę mieć tego diabła w pobliżu mego syna. Rick nie może się sam bronić, więc...

— Tatusiu, czekaj!

To był głos Ricka: dziecinnie wysoki, a przecież donośny i stanowczy. Matt i Trudi odwrócili się zaskoczeni. W otwartych na oścież wrotach siedziało na wózku inwalidzkim dziecko. Jessy musiała z pomocą któregoś z kowbojów znieść go z wózkiem po schodach, lecz teraz był sam, zupełnie sam. Ze zdumiewającą szybkością znalazł się tuż obok ojca.

— Zaczekaj! — wydyszał z trudem. — Musisz nas wysłuchać, Trudi i mnie. To była tajemnica. Mieliśmy ci powiedzieć, ale później... Nie spodziewaliśmy się ciebie tak szybko.

Matt zdawał się nie słuchać chłopca.

— Wracaj do domu, Rick rzucił głucho nie patrząc na syna. — Zabierz go stąd, Trudi, zrozumiałaś?!

Instynktownie czuła, że jego myśli powędrowały do tamtej nocy, kiedy zginęła jego żona. Przyszedł do tej samej stajni z zamiarem zastrzelenia koni, jej koni. Wtedy tego nie zrobił, za to teraz był zdecydowany. Podbiegła do chłopca i objęła go ramieniem.

— W porządku, Rick. To nic, że twój tato nie chce nas wysłuchać. Po prostu pokaż mu, co potrafisz! — Odetchnęła głęboko, jakby chcąc nabrać w ten sposób odwagi. — Nie potrzebujemy tych dwóch tygodni, Rick! Jesteśmy gotowi! Pracowaliśmy ciężko przez wiele dni i jesteśmy gotowi!

Chłopiec w milczeniu skinął głową, po czym podjechał wózkiem do zagrody. Matt wydał z siebie zduszony dźwięk i opuścił broń, gdy drobna, lecz mocna dłoń Trudi ścisnęła go za ramię. Spojrzał na nią zdumiony, a potem nie odrywał już wzroku od syna.

Rick z niespodziewaną zwinnością podciągnął się na rękach, chwycił jedną ręką poprzeczną belkę przegrody, a drugą wyciągnął w kierunku ogiera. Olbrzymi koń w mgnieniu oka się uspokoił i stał przez chwilę cicho, drżąc, z napiętymi mięśniami, a potem podszedł do wątlej chłopięcej rączki, która wyciągała się ku niemu, i wtulił chrapy w małą piastkę.

— Już dobrze, dobrze — powiedział pieszczotliwie Rick. — Teraz chodź, no chodź.

Na wpół siedząc w wózku, odsunął nadwerężoną przegrodę, a kiedy koń, posłuszny jego żądaniu, wyszedł na zewnątrz, stało się coś zdumiewającego. Rick podniósł swe chude, cienkie ręce, olbrzymi koń potrząsnął srebrną grzywą, a potem spuścił łeb, aby chłopiec mógł się jej uchwycić. Wykorzystując grzywę jak drabinę, podciągnął się z wózka, wyrzucił w górę swe bezużyteczne nogi, zwinnie wspiął się na grzbiet ogiera i przesunął na jego kark.

— W porządku! — zawołał dźwięcznie. Wychylił się do przodu i szepnął zwierzęciu do ucha: Pokażemy tacie, jak będziemy jeździć, gdy zrobi mnie zarządcą Brandywine.

Powoli, jak we śnie, Matt ruszył do wrót. Trudi szła tuż za nim, z zalaną łzami twarzą. Postawny, milczący mężczyzna i młoda pielęgniarzka przyglądali się z zapartym tchem, jak olbrzymi koń z małym chłopcem na grzbiecie, uczepionym jego grzywy, ruszył galopem w kierunku doliny, zatrzymał się u jej wylotu, a potem wrócił pędem, jakby go coś ścigało. Kiedy znaleźli się z powrotem wewnątrz ogrodzenia, ponad Brandywine i pobliską pustynię poniósł się okrzyk: „Juhuu!”, a brzmiały w nim duma i triumf.

— O mój Boże! — wybuchnął wreszcie Matt. — To przecież...

Nie dokończył, wpatrując się ze zdumieniem w uszczęśliwioną twarz Trudi, i w tym momencie opadły z niego gniew, nienawiść do całego świata i dręcząca samotność.

Na tym właśnie polegała tajemnica Trudi, jej niezwykły plan. Było dokładnie tak, jak kiedyś powiedziała Mattowi: „Siła i prawość człowieka biorą się z ducha, obojętne, w jakim stanie są jego nogi”.

Uczuła jego nie ogolony policzek na swej skroni.

— Jaki ze mnie głupiec! — szepnął. — Straciłem tyle czasu...

Położyła palec na jego wargach. To była prawda. Matt stracił wiele czasu, wzdragał się przed przyjęciem do wiadomości, że jego syn do końca życia zostanie kaleką. A przecież już dawno mogli być szczęśliwi wszyscy troje. To jego słabość, lęk przed rzeczywistością były temu winne, nie Rick i jego biedne bezwładne nogi.

Rick i Duch wracali truchtem do stajni. Kiedy Matt zdjął syna z konia i zamknął go w ramionach, wszyscy wiedzieli, że ta noc będzie początkiem — dla nich wszystkich i dla Brandywine.

W tej chwili stali się rodziną. Jeszcze długo potem, kiedy Matt i Trudi pobrali się, a nawet jeszcze wtedy, gdy Rick zarządzał Brandywine, opowiadano o tej nocy, kiedy odwaga i miłość nadały nowy kształt istnieniu kilku osób. Młoda pielęgniarka, na wpół sparalizowany chłopiec i dorodny koń — wszyscy troje przywrócili sens życiu Matta Frazier.

RS

RS